POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 30-go października 1943r.*** — **Rok V. Nr. 43**

KRAJ MÓWI

Ogłoszona w minionym tygodniu Deklaracja Stronnictw w Kraju jest przede wszystkim aktem o znaczeniu politycznym. Jednakże stanowi ona również wydarzenie o istotnym sensie moralnym, przedstawia osiągnięcie w zakresie moralności zbiorowej, ma stąd wymowę wzoru i nakazu. Ocena polityczna Deklaracji nie nam, żołnierzom, przypada. Ale rozważenie jej waloru moralnego obowiązuje nas na równi ze wszystkimi, którym los przysądził reprezentowanie sprawy polskiej na obczyźnie, na których nałożył obowiązek pracy i walki o jej zwycięstwo.

“ Deklaracja porozumienia politycznego czterech stronnictw stanowiących Krajową Reprezentację Polityczną” jest dlatego osiągnięciem w zakresie moralności zbiorowej, ponieważ stanowi wyraz zgody, zawartej w obliczu zadań bardziej doniosłych, w imię interesów wyższych, niż zadania i interesy każdego z wchodzących do Reprezentacji ugrupowań z osobna . Deklaracja wyraźnie stwierdza, że przed narodem polskim stoi “ ogrom zadań,” że powiększy się on jeszcze “ w momencie wyzwalania kraju spod okupacji.”

Aby temu ogromowi zadań, największemu, jaki kiedykolwiek jedno pokolenie Polaków miało do wypełnienia, podołać — “ stronnictwa reprezentujące główne kierunki myśli politycznej oraz olbrzymią większość zorganizowanego politycznie społeczeństwa polskiego ” postanowiły działanie wspólne, zgodne i jednolite. Mimo dzielących je różnic ideowych, porozumiały się co do celów i zadań, co do środków i możliwości. Znalazły wspólny język. Nakreśliły wspólną drogę — na czas toczącej się wojny i na pierwszy okres po wojnie. Nie jest to jeszcze zwycięstwo nad wrogiem, ale jest to już zwycięstwo — nad sobą, zwycięstwo nie materialne, ale moralne.

Jakie zadania Kraj stawia sobie — i nam — przez usta swoich przedstawicieli? Są one sformułowane w takiej kolejności: odbudowa Państwa Polskiego, ustalenie jego granic, przywrócenie wewnętrznego ładu, czynny udział w ustalaniu form współżycia narodów w Europie. Są to zadania bezsporne, oczywiste — co do ważności i uszeregowania. Zawierają i wyczerpują one to, co jest absolutnie wspólne wszystkim Polakom, świadomym swego przynależenia do polskości i — odpowiedzialnym za fakt przynależenia do niej.

Jednak Deklaracja nie zatrzymuje się w tym punkcie. Każde z owych zadań określa bliżej, możliwie prosto i jasno. Odpowiada na pytanie, jak ma wyglądać państwo, które odrodzi się z naszego wysiłku, jakie ma mieć granice, jaki to porządek społeczny owe granice mają zamknąć w sobie, na jakich zasadach podejmiemy się współpracy z innymi państwami.

Jeszcze raz Kraj odpowiada na głupstwo o “ imperialiźmie polskim.” Deklaracja wydana w imieniu Kraju żąda “ granic na zachodzie i północy, gwarantujących Polsce szeroki dostęp do morza i bezwzględne bezpieczeństwo,” ale dwukrotnie stwierdza nienaruszalność jej terytorium, jeśli idzie o granicę wschodnią. Jest to “ ostatnie słowo,” od którego nikt ani w Kraju, ani poza nim nie ustąpi i ustąpić nie może. Dlatego słusznie i rozsądnie by było, abyśmy przestali między sobą udawać, że są wśród nas co do tego, że mogą być jakiekolwiek różnice.

Poprzez wielką ilość szczegółów i konkretnych zobowiązań zakreślony jest w Deklaracji Stronnictw obraz Polski, która ma wypełnić treścią żywą, treścią codziennego bytu granice powojenne. Wysunięto tu na czoło dwa słowa: wolność i praca. Wolność obywatelska, równość praw i obowiązków dla wszystkich, którzy żyć będą na ziemiach Rzeczypospolitej, a więc i dla mniejszości narodowych. Praca ludzka, “ jako największa wartość społeczna, na której ma się opierać rozwój i dobrobyt.”

Deklaracja usilnie unikająca ogólników stara się i te zasady określić w sposób jak najbardziej konkretny. Mówi o reformie rolnej, o likwidacji bezrobocia, o repatriacji wywiezionych na roboty i wysiedlonych, mówi przede wszystkim o przejęciu na okres przejściowy pod zarząd państwa przedsiębiorstw przemysłowych, zarządzanych przez Niemców oraz wszelkiej własności niemieckiej i bezpańskiej. Wyraża się w tym dobitne pragnienie, aby przejście od rządów niemieckiego okupanta do polskiego samorządu, do polskiej “ rzeczy pospolitej,” jednej, wspólnej i sprawiedliwej odbyło się bez skrajności uwzględniających interesy tylko jednej klasy lub jednego stronnictwa.

Właśnie to — rezygnacja świadoma, dobrowolna i pełna poczucia odpowiedzialności z ściśle partykularnego punktu widzenia na rzecz sprawy zbiorowej stanowi drugi moralny walor Deklaracji. Bo każde wzniesienie ponad obręb własny na poziom, z którego obejmuje się całość, każde przezwyciężenie egoizmu — jest osiągnięciem moralnym.

Zwięzły i pełen treści dokument z Kraju, pisany przez ludzi przywykłych do milczenia, przywykłych do ważenia słów na nadczułej wadze śmierci — nie pomija także sprawy naszego stosunku do świata zewnętrznego. Może on tylko być i musi być stosunkiem równorzędności, odwołującym do szlachetnej zasady polskiej: “ równi z równymi.” Ta zasada winna też leżeć u podstawy konfederacji państw, której ośrodkiem byłby związek polsko-czeski.

Z naszego, żołnierskiego punktu widzenia ważny jest jeszcze jeden ustęp Deklaracji, mianowicie dotyczący Armii Krajowej: “ Stronnictwa — czytamy w niej — poprą wszystkimi siłami organizacyjnymi i propagandowymi Armię Krajową, jako organ ogólno-narodowy i rozstrzygający w dziedzinie walki orężnej o naszą przyszłość; jednocześnie będą współdziałać w harmonijnym ułożeniu współpracy organów cywilnych i wojskowych w dziedzinie przygotowań do wystąpienia, które jest naczelnym dążeniem całej akcji politycznej, administracyjnej i wojskowej.”

Jest to stwierdzenie ważne dlatego, ponieważ pośrednio dotyczy ono nas, Armii, Sił Zbrojnych na Obczyźnie. Stawia ono wysiłek orężny na czele wszystkich dążeń zbiorowych, stawia siłę, która ten wysiłek podejmie i wykona ponad wszelkimi partykularnymi ambicjami i interesami. Jest to jeszcze jeden moralny walor głosu z Kraju.

Ściśle współbrzmi z nim następujący ustęp z rozkazu Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego z dnia 11 lipca b.r.: “Żołnierz jest obywatelem swojej Ojczyzny i troska o Jej los i honor serce jego przepełnia. Lecz armia nie uprawia polityki. Wykonuje decyzje Prezydenta i Rządu. Oddana wyłącznie swoim wojskowym zadaniom i przeznaczeniom sposobi się nieustannie do boju, mając wzrok utkwiony na pola bitew oczekujących ją na drodze do Polski.”

Deklaracja nie zwraca się osobno do społeczeństwa emigracyjnego. Dzieje się tak nie tylko z tej przyczyny, że jest ona dokumentem regulującym na dziś i na jutro sprawy życia zbiorowego w Kraju, sprawy wielkiego i największego polskiego wymiaru, ale przede wszystkim dlatego, że traktuje Kraj i wychodźstwo z Kraju, jako — jedność, jedność walczącą o to samo. Deklaracja udziela poparcia rządowi, będącemu wyrazem współpracy stronnictw w Kraju i wzywa przedstawicieli tych stronnictw do takiego samego współdziałania, jakie w Kraju zostało w pełni osiągnięte.

W tym zawiera się wymowa wzoru i nakazu. Jest ona nam żołnierzom, którzy stoimy poza polityką, poza grą namiętności, ambicji i interesów szczególnie bliska, zrozumiała i droga. Nie przerażają nas różnice panujące w środowisku emigracyjnym — rozumiemy dobrze, iż są one naturalną koniecznością każdego żywego, dojrzałego i świadomego społeczeństwa. Przeraża nas chorobliwa niemoc czy moralna słabość, aby ponad różnicami dojrzeć wyższą wspólnotę, której my, żołnierze, jesteśmy wyrazicielami i sługami, wspólnotę, którą się wyraża i której w naszym żołnierskim stanie służy się wszystkim — aż do ofiary życia. Już nie przeraża, ale ubliża nam, jeśli te różnice próbuje się przenieść w szeregi, jeśli, na szczęście daremnie, usiłuje się je dzielić, używać jako instrumentu nie do walki o dobro wspólne, ale poziomy interes partykularny.

Rozważając dziś ciężar moralny aktu zawartego w Kraju, przenikniętego w swojej istocie tym, co w Kraju jest dziś najwyższe, najczystsze i najbardziej ofiarne, my żołnierze pragnęlibyśmy, aby zaważył on na atmosferze naszego, tutejszego życia. Pragnęlibyśmy, aby bodaj — to są słowa Deklaracji — “ w wystąpieniach polemicznych organów prasowych przestrzegana była lojalność, wynikająca z faktu porozumienia i współpracy.” Pragnęlibyśmy gorąco, najgoręcej, aby od tego wiodła droga do pełnego porozumienia i współpracy w obliczu ciężkich chwil, czekających nas żołnierzy, którzy będziemy walczyć i naród, który w rosnącym ucisku, bezbrzeżnej niedoli wygląda i nie wiadomo jak jeszcze długo wyglądać będzie godziny naszego powrotu.

Tak, tylko tak możemy odpowiedzieć na prosty, twardy głos wezwania, słyszalny poprzez słowa Deklaracji z Kraju.

ALEKSANDER JANOWSKI

WSTAŃCIE — CIENIE . . .

W dzień Zaduszny idzie się na groby swoich bliskich z modłami, kwiatami, światłami.

Dziś od tych grobów jesteśmy daleko. Nie możemy złożyć umarłym ofiary z naszych modłów, ani położyć kwiatów na ich mogiłach. I nie tylko dlatego, że jesteśmy daleko, ale i dlatego, że mogił za dużo, bo cała Polska jest dziś cmentarzem. Giną niewinni tysiącami, setkami tysięcy, już nawet milionami. Rosną mogiły już nie pojedyńcze — miejsca by w Polsce brakło — masowe kopią nam groby, w których czasem spoczywa 10 tysięcy żołnierzy. Aby zaś nie wołały te groby o pomstę do nieba a zemstę do ludzi, wróg wydobywa zwłoki pomordowanych ofiar z ziemi, pali je a groby zaorywa pługiem. Sądzi, że umarłych usunął ze świata.

Lecz nadchodzi dzień umarłych — Dzień Zaduszny. Umarli przychodzą do głosu i mówią do swoich i do świata.

Wstają z martwych szeregi żołnierzy Września, z połamanymi na czołgach lancami w dłoniach, z karabinami bez amunicji, wstają umarli z ran, których nie miał kto opatrzeć, i mówią: — “ Ginęliśmy nie za Gdańsk, ani za “ korytarz,” lecz za to samo, za co i wy dzisiaj giniecie, za wolność człowieka. To nie była tylko nasza sprawa, bo wolność jest i nasza i Wasza. Zgodzicie się na niewolę innych narodów — tracicie i Wy prawo do wolności. Broniąc nas, bronicie siebie tak, jak my broniąc własnej wolności, broniliśmy i Waszej. Czy umarliśmy na próżno? ”

Z mogił we Francji wstają żołnierze pancerni i zdumieni patrzą dokoła. Czyż to są Niemcy czy Francja: — “ Mówiło wielu z Was, żołnierzy Francji, że się nie będzie bić za Gdańsk, ale Wy nie chcieliście się bić nie tylko za Gdańsk, ale i za Francję. My biliśmy się za Francję, za Francję Verdun i za tych spośród Was, co broni nie złożyli i nie złożą. Wtedy kiedy miliony waszych żołnierzy rzucały broń, tysiące naszych starały się Was osłaniać. Czy pamiętacie? Czy będziecie pamiętać? ”

W jednym z miasteczek Anglii jest polski cmentarz, a na nim najsmutniejsza, najtragiczniejsza mogiła, jaką wojna obecna usypała poległemu Polakowi — mogiła Wodza Naczelnego. Nie leży sam, leży z tymi swoimi żołnierzami, którzy jak on z wyżyn podniebnych spadli na ziemię Anglii. Przeznaczenie wybrało mu śmierć na wodach angielskich i mogiłę na ziemi angielskiej.

Kiedy po raz pierwszy przyleciał do Anglii powiedział: — “ Polacy walczą dalej,” a wtedy Churchill dłoń jego uścisnął ze słowami, że to będzie walka razem — na życie i śmierć. Generał Sikorski swoją rolę spełnił, walczył na życie i śmierć. Leży na angielskim cmentarzu ze swoimi żołnierzami na straży słów, którymi zapewniono go, że Polska będzie nieuszczuplona, wolna i niepodległa.

Żołnierze, lotnicy, których groby wokół jego mogiły są rozsiane, będą przypominać bitwę o Anglię, i 230 strąconych przez nich niemieckich samolotów. Bitwy wygrywa się czasem — jak Churchill powiedział — na małym marginesie. Któż może powiedzieć, jakie ten dziesięcioprocentowy margines strat niemieckich mógł mieć w nieśmiertelnej bitwie o Anglię? Jedno jest niezaprzeczone i po wieki pamiętne, że w tej najniebezpieczniejszej bitwie o Anglię, Polacy chlubnie walczyli. A gdyby chciał kto zapomnieć i radził Polakom, komu mają się poddać lub komu co oddać, to może mu się przyśnią cienie z Newark i przestanie nam dawać rady.

Marynarze nasi mogił nie mają. Ale gdy okręty angielskie będą wracać po zwycięstwie do swoich portów i będą salutować polskich towarzyszów płynących do Gdańska i Gdyni, wspomnieć muszą o tych, którzy z załogą leżą na dnie mórz i oceanów.

Lecz pocóż wyliczać kraje z grobami polskimi, kiedy te groby są w każdym kraju. W pustyniach Afryki, nad Amudarią w Azji, w Egipcie, Syrii, Palestynie, w Hiszpanii, daleko i blisko groby znanych i nieznanych żołnierzy — wszędzie na kuli ziemskiej, ofiary, ofiary, a ten bezmiar ofiar świadczy o polskiej walce i polskim męczeństwie w obronie wolności swojej i świata.

Obudziły one sumienia ludzkie i sprawiły, że najwięksi tego świata, najwięksi umysłem i sercem powiedzieli, że Polska jest natchnieniem świata, i że gdy w innych krajach wrogowie uderzają co pewien czas opierające się im ludy, to Polska składa ofiary z życia swych synów ciągle, każdego dnia.

Nie można wierzyć szyderstwu wrogów, że cynizm tego świata o tym zapomni. Nie można wierzyć, aby piękne i natchnione słowa wielkich przywódców narodów, słowa książąt kościołów i wołanie mas pracujących o zadośćuczynienie za zbrodnie przebrzmiały, gdy ofiary nie będą już potrzebne.

Czyż bowiem lepiej było by żyć podwójnym życiem politycznym, stworzyć sobie i w Kraju asekurację kultury narodowej, ochronę szkół, uniwersytetów, zapomocą jakiegoś Quislinga a równocześnie wołać do Aliantów o pomoc. Albo może lepiej było by połączyć się z najsilniejszym i razem z nim zacząć bić słabszych i nieprzygotowanych, a takimi byli wszyscy.

Nie, nic nas nie odwróci od głębokiej wiary w to, że uczyniliśmy dobrze, że inaczej nie uczynilibyśmy nigdy. Wierzymy i wierzyć będziemy, że ofiary nasze nie były daremne. A jeśli nasz głos, głos żywych nie będzie dość głośny, aby świat go usłyszał, to umarli przemówią.

Dziś ich dzień. Niech mówią — życiem swoim i śmiercią swoją. Niech mówią, dlaczego ginęli.

Powinniśmy dzisiaj nad ich grobami modlić się słowami: “ Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie.” Nie ma jednak w Polsce odpoczywania nawet po śmierci i dlatego my w tej chwili, gdy się rozstrzygają losy świata i nasze, zamiast “ Wieczne odpoczywanie ” wołamy:

—“ Wstańcie cienie — żywym do pomocy w obronie dziedzictwa, o które walczyliście i za które umarli, i żywym na przykład, niech jak wy, gdy trzeba, “ na śmierć idą po kolei.”

STANISŁAW SZURLEJ

Polski cmentarz w Tobruku



Szkic sytuacyjny

NARADY MOSKIEWSKIE

Zainteresowanie polityczne skupia się ciągle na naradach moskiewskich, które odbywają się przy wtórze dalszych postępów armii sowieckiej. Prasa brytyjska jest nader skąpa w swoich wypowiedziach i najwidoczniej nie chce przez jakieś przedwczesne ujawnianie treści czy tematów narad złamać zasady dyskrecji. Z raportu, jaki dnia 24 października pojawił się na łamach "*Sunday Timesa,*" a wyszedł spod pióra Wertha, widać, że należy się liczyć z dużą hermetycznością narad. Poprzednie narady, jakie się odbyły w toku wojny /Casablanca, Quebec/ były otoczone dużą tajemniczością. Przypuszczać należy, że narady moskiewskie będą jeszcze bardziej osłonięte tajemnicą i że jeżeli prasa amerykańska nie "puści farby," to przed upływem jakiegoś miesiąca niewiele się dowiemy.

Sprawozdawca "*Observera*" z dnia 24.X. zaznacza, że w Rosji dokonały się poważne przesunięcia i zmiany w toku tej wojny i że Rosja obecna jest nacjonalistyczna i chlubi się swoją przeszłością i — teraźniejszością. Znajduje to wyraz w upodobaniu do wspaniałości, do orderów, do tego wszystkiego, co łączono dotychczas z okresem carskim. Ta duma narodowa jest dzisiaj w Rosji powszechna. Korespondent "*Observera*" dodaje, że Rosja obecna przeszła z używania żargonu okresu rewolucji na inną mowę. Dawniejsze komunistyczne hasła przesunięte zostały do lamusa. "Panslawizm — wywodzi "*Observer*" — przyszedł na miejsce marksistowskiej międzynarodowości. Roszczenia terytorialne wyparły wezwania rewolucyjne, które zwykły były wypełniać dyplomatyczne noty Trockiego i Cziczerina."

"*Daily Mail*" w artykule A. Forbesa na temat narad w Moskwie /z dnia 20.X./, stwierdza także, że duch nacjonalizmu przenika dzisiaj Rosję. Pismo to uważa jednak, że podejrzliwość wobec mocarstw Zachodu nie znikła i że uzyskanie porozumienia z Moskwą nie będzie rzeczą zbyt łatwą.

MOWA SMUTSA

Sędziwy premier Unii Płd. Afrykańskiej, generał Smuts, wystąpił z mową, która wypowiedziana akurat w przede dniu narad moskiewskich miała swoją — wymowę. Smuts zaznaczył, że zwycięstwa jakie oręż brytyjski odniósł w Afryce były równie ważne, jak zwycięstwa na innych frontach. Chciał on niewątpliwie przyczynić się przez to postawienie sprawy do uwolnienia niektórych odłamów społeczeństwa brytyjskiego od tego kompleksu niższości wobec zwycięstwa na Wschodzie, który wpajany jest w ogół brytyjski przez pewne koła i pewne pisma; równocześnie Smuts stwierdził, że przed rokiem 1944 nie należy oczekiwać przejścia do szturmu na fortecę europejską.

Smuts podniósł w swojej mowie zagadnienia moralne. Potępił on agresję, potępił ducha zaborczości, zapędy imperialistyczne. Okazał troskę dla spraw kultury ludzkiej, dla całej schedy Europy. Dowiódł, że Dominia brytyjskie mają czułe sumienie dla tych spraw. Dowiódł, że Dominia te, które są same w sobie jakby "małymi narodami," pracującymi dla dobra wspólnej całości: Imperium, mają zrozumienie dla spraw t.zw. małych narodów Europy.

Wreszcie Smuts zaznaczył, że po tej wojnie nie dopuści się do "pogorszenia stanu gospodarczego oraz do zamętu w krajach wrogich." Dowodzi to, że polityka brytyjska patrzy raczej niechętnie na plany represyj ekonomicznych w stosunku do Rzeszy i że nie zamierza dopuścić do jakiejś rewolucyjnej rzezi w Niemczech. Ten ustęp mowy Smutsa — który nie od dzisiaj jest raczej przychylny narodowi niemieckiemu — dowodzi, iż polityka brytyjska wobec Rzeszy nie będzie może tak drastyczna, jak to sobie wyobrażano jeszcze dwa lata, czy rok temu. Dowodzi to również olbrzymiej elastyczności brytyjskiej, która nie ma żadnych rasowych przesądów ani uprzedzeń i kieruje się stale i wyłącznie tylko interesem politycznym.

R. 1944

Smuts powiada o roku przyszłym jako o roku właściwej rozprawy. Uważa, że to Amerykanie, jako najbardziej wypoczęty i najliczniejszy zespół, dokonają szturmu, który złamie fortecę Hitlera. Uważa zatem pośrednio, że to wojskom amerykańskim przypadnie w udziale sprawa okupacji Europy — w każdym razie okupacji krajów zachodnich, Rzeszy niemieckiej a może i dalszych jeszcze połaci Europy.

Data wyznaczona przez Smutsa nie zaskoczy nikogo z ostrożnych obserwatorów. Kiedy o r. 1944-ym jako roku końcowym wojny, wspominałem na tych łamach jeszcze w r. 1941 czy 1942, wołano, że jest to pesymizm i nieomal defetyzm. Pewne organy naszej prasy uważały, że jest to ponura wróżba. Dzisiaj okazuje się, że przed r. 1944-tym nie można było dokonać ostatecznego szturmu i że wołania o t.zw. drugi front nie orientowały się po prostu w możliwościach ludzkich i sprzętowych sojuszników.

Kiedyż nareszcie nauczymy się prostej prawdy, że między realizmem a lekkomyślnością istnieje wielka przepaść i że to, co zwie się w sposób tani i demagogiczny pesymizmem jest tylko trzeźwym ocenianiem możliwości i wysnuwaniem z tego wniosków, podczas gdy t.zw. optymizm jest często tylko strojem bezmyślności i lekkomyślności?

W chwilach, które na nas idą, w niezwykle ciężkich czasach, jakie nachodzą na nas i jakie nas długo jeszcze będą gnębić — potrzeba nam więcej, niż kiedykolwiek *trzeźwości.* Wszelka lekkomyślność może okazać się zgubna. Już raz, nie tak dawno w naszej historii, zapłaciliśmy strasznym rozczarowaniem za nadmiar optymizmu.

ODCIĘCIE KRYMU?

Wojska sowieckie zajęły Melitopol. Sprawozdawcy brytyjscy oceniają sytuację wojsk niemieckich w łuku Dniepru jako bardzo poważną. Twierdzą oni, że jest tam około milion wojsk niemieckich i że mimo pośpiesznie rzucanych posiłków, parcie sowieckie trwa. Odcięcie Krymu jest dzisiaj możliwością. Jeżeli tak, powiadają sprawozdawcy angielscy, to wówczas *należało by się liczyć z klęską przechodzącą rozmiarami klęskę stalingradzką.*

Nie wiemy, jak będzie istotnie. Możliwości ewakuacji są przecież dalej otwarte. Przypomnijmy sobie, jak długo trzymał się przyczółek kubański. Krym jest przyczółkiem na o wiele większą skalę. Można go zaopatrzyć, można go ewakuować morzem. Przypuszczać wolno, że *wojska niemieckie nie zechcą ustępować z Krymu zbyt szybko.* Wiedzą one, że Krym stanowi osłonę Bessarabii, a zatem Rumunii.

Z tego właśnie powodu, że Krym to osłona Rumunii, że oznacza to odsłonięcie pól naftowych, o co zatem idzie niezwykle czułego punktu maszyny wojennej Rzeszy, trzeba by sądzić, że obrona Krymu będzie twarda.

Wiele wskazuje jednak na to, że wojska niemieckie będą ustępowały *stale* i ciągle ku zachodowi. Jeżeli tempo cofania się będzie utrzymane, to *w zimie możemy być świadkami walk na rubieżach Polski.* Sądzić trzeba, że plan strategiczny niemiecki jest dalej oparty na jakichś przesłankach Bitwy Warszawskiej czy Jezior Mazurskich. Jest to wniosek, który narzuca się nieodparcie, gdy się śledzi przebieg walk na Wschodzie.

Dotychczas armia niemiecka cofa się w składzie. Ilość jeńców jest mała. Wydaje się, że odwrotowi niemieckiemu przyświeca jakiś plan strategiczny. Może to być plan uzyskania rezerw t.zw. mobilizacji totalnej. Mogą być to także jakieś bliżej nam nieznane względy polityczne.

GDZIE KRYM — GDZIE RZYM

Postępy w kierunku Rzymu są powolne. Przypuszczano przez jakiś czas, że jest to wynikiem tego, iż Stolica św. czyni zabiegi u obu stron walczących, ażeby ogłosić Rzym i całą okolicę za strefę wolną.

Być może, że to jest przyczyną zastoju; być może jednak, że poważniejszym czynnikiem jest *sprowadzanie odpowiedniej armady lotniczej.* Ostatnie doniesienia z linii frontu we Włoszech zaznaczają, iż lotnictwa brytyjskie i amerykańskie zaczynają przejawiać coraz to żywszą działalność. Należało by oczekiwać zatem uderzenia lotniczego na wielką skalę.

Zajęcie Rzymu nie będzie bodaj sprawą tego miesiąca, raczej listopad może być terminem bardziej prawdopodobnym. Uzyskanie linii Padu, o czym myślano we wrześniu, przed zimą, nie wydaje się bodaj możliwością tego roku. A zatem i tutaj r. 1944 wyrasta jako możliwy start dla poważniejszych poczynań. Wiosna r. 1944 może oglądać zażarte boje we Włoszech na nizinie lombardzkiej.

Oczywiście, ten "kalendarz zajęć," jeżeli tak można powiedzieć, może być przyśpieszony, jeżeli potęga lotnicza sojuszników nagle urośnie, jeżeli będzie ona taka, że zniszczy opór niemiecki. Na razie jednak dywizje niemieckie napływają coraz liczniej, opór niemiecki rośnie i sojusznicy robią wszystko, ażeby przede wszystkim umocnić swoje stanowiska i zdobyć gotowość odparcia wszelkich prób niemieckiego uderzenia, które pozwoliło by im uzyskać sukces przynajmniej *we Włoszech,* skoro front wschodni jest dla takich powodzeń jakby zamknięty i niedostępny.

Możliwość takiego uderzenia niemieckiego celem dowiedzenia światu, że jednak forteca europejska będzie broniona twardo, jest wcale duża. To zapewne sprawia, że alianci okopują się mocniej we Włoszech.

Londyn, 24.X.1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

17 *października: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadziły wymiatanie, dwa patrole ofensywne oraz patrol wzdłuż wybrzeża nieprzyjacielskiego. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

18 *października: Z Kraju nadeszły wiadomości o nowych obławach ulicznych, aresztowaniach i rozstrzeliwaniach Polaków przez Niemców.*

—W nocy z 17/18 *polskie samoloty bombowe brały udział w działaniach bojowych. Wszystkie samoloty polskie powróciły.*

—Polskie dywizjony myśliwskie pięciokrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

19 *października: W Moskwie rozpoczęła się konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych A.P. oraz Z.S.R.R.*

20 *października: W Londynie odbyło się nabożeństwo żałobne za spokój dusz załogi O.R.P. "Orkan." Na nabożeństwie obecni byli uratowani z okrętu marynarze.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową oraz wykonały dalekosiężny patrol ofensywny. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

21 *października: Polscy myśliwcy wykonali dalekosiężne patrole ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili.*

—Polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy wykonał lot na rozpoznanie żeglugi nieprzyjacielskiej. Wszyscy piloci powrócili.

22 *października: Polskie dywizjony myśliwskie czterokrotnie osłaniały wyprawy bombowe, a polski myśliwski dywizjon rozpoznawczy wykonał lot na rozpoznanie żeglugi. W czasie tego działania doszło do spotkania z lotnictwem niemieckim. Wszyscy piloci polscy wrócili z wszystkich tych działań.*

23 *października: Lotnictwo brytyjskie dokonało w nocy z* 22/23 *silnego nalotu na Kassel.*

—Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Melitopol.

—Polski dywizjon myśliwski wykonał dwa dalekosiężne patrole ofensywne. W czasie jednego z nich uszkodzono nieprzyjacielski statek handlowy. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.

24 *października: Polskie dywizjony myśliwskie wykonały dwie osłony wypraw bombowych, jedno wymiatanie oraz dwa dalekosiężne patrole ofensywne.*

Wszyscy piloci polscy powrócili.

25 *października: W Moskwie ogłoszono, iż wojska sowieckie zajęły Dniepropietrowsk.*

Wojna na morzu

MARYNARKA POD SALERNO

Obecnie można już podać jakie okręty brały udział w słynnej operacji morskiej pod Salerno, która — jak wiadomo — ocaliła V. armię amerykańską od zagłady. Niemcy sami przyznali, że tylko działa okrętów uchroniły Amerykanów od wytopienia w morzu. Ze swej strony dodać musimy, że z pewnych względów flota w operacji tej nie miała nawet dostatecznego poparcia lotnictwa. A jednak zadanie wykonała.

W działaniach bezpośredniego wsparcia wojsk na lądzie brały więc udział: okręty liniowe "King George V" i "Howe" po 35.000 ton i 10 dział 356 mm każdy, "Nelson" i "Rodney" po 34.000 ton i 9 dział 403 mm każdy, "Warspite" i "Valiant" po 30.000 ton i 8 dział 381 mm każdy /podajemy tylko artylerię główną/. Dalej lotniskowce "Illustrious" i "Formidable" po 23.000 ton, oraz 5 mniejszych. Dalej 10 krążowników, monitor i kilkadziesiąt kontrtorpedowców, oraz pewna ilość okrętów podwodnych. Eskadra amerykańska składała się z 3 krążowników i 18 kontrtorpedowców. Holandia reprezentowana była przez dwa monitory. Poza tym poważną pozycję przedstawiały ścigacze oraz poławiacze min. Ze strony polskiej brały udział kontrtorpedowce "Piorun," "Ślązak" i "Krakowiak." O.R.P. "Ślązak" przewodził zespołowi z 10 kontrtorpedowców, co świadczy o wysokim zaufaniu wyższego dowództwa brytyjskiego do polskich oficerów i marynarzy.

AZORY

Krótko mówiąc: Azory są portem lotniczym i morskim na środku Atlantyku. Cała ofensywa podwodna Doenitza, jeśli nie została tym posunięciem politycznym unicestwiona — to w każdym razie . . . podcięta. Nadto konwoje sprzymierzonych, miast bardzo przykrej zimą drogi północnej — będą mogły płynąć drogą południową. Ma to też duże znaczenie dla zaopatrywania basenu śródziemnomorskiego przez Gibraltar.

Objęcie baz morskich i lotniczych na Azorach, to potężny cios strategiczny wymierzony Niemcom. To jeszcze jedno zagrożenie ich okrętów, których podstawy operacyjne kurczą się w przerażający sposób. Już i tak załogi niemieckich okrętów podwodnych nazywają dojścia do własnych portów we Francji i Niemczech — "Rosengärten" /ogród róż/ — tak bowiem gęsto usiane są minami brytyjskimi.

Równocześnie flota brytyjska blokuje strategicznie Norwegię i bombarduje jej brzegi. Lotnictwo sięga aż po Malborg i Gdynię. Praktycznie biorąc flota niemiecka może jeszcze istnieć i działać, ale nie ma już ani jednego spokojnego i pewnego absolutnie portu. Cóż daliby marynarze niemieccy aby móc pracować i wypoczywać w atmosferze . . . Nowego Yorku!

PARĘ POGŁOSEK

Wiadomość o zatopieniu w Gdyni pancernika "Lützow" i tuzina innych okrętów i statków — należy przyjąć z zastrzeżeniem. Nalot "Latających Fortec" był z pewnością skuteczny, ale rezultaty jego są dokładnie znane przede wszystkim . . . Niemcom!

Podobno Niemcy podnoszą zatopione w Kopenhadze okręty duńskie, aby wcielić je do własnej floty. To się nazywa — "*faire flêches do tout bois*" /robić strzały z każdego drzewa/. Flota duńska nie grzeszyła bowiem ani potęgą ani nowoczesnością swych okrętów. Po sabotażu i pobycie na dnie morskim — z pewnością nie będą one lepsze.

Niemcy twierdzą, że od początku sierpnia do 10 października zatopili jeden pancernik, 5 krążowników, 31 kontrtorpedowców i 18 innych okrętów.

Prasa brytyjska natomiast podaje, że w tym okresie zginęło w istocie 8 kontrtorpedowców /w tym 2 amerykańskie/, jedna fregata, jedna kanonierka, jedna korweta i jeden stawiacz min. Zatopiony pancernik jest zapewne włoskim pancernikiem "Roma."

Ile zginęło niemieckich okrętów podwodnych — Niemcy oczywiście nie podają!

ADMIRAŁ CUNNINGHAM

W "*Daily Express*" z dnia 5-tego października, w artykule o przejęciu przez Admirała Cunningham obowiązków Pierwszego Lorda Morskiego, czytamy:

" . . . Cunningham powrócił na Morze Śródziemne na czele nowej wielkiej floty, złożonej z brytyjskich, amerykańskich, greckich i *polskich* okrętów wojennych . . ."

Największy "niedoceniacz" Polskiej Marynarki Wojennej gotów jednak ucieszyć się po przeczytaniu tych słów. Z naszej strony możemy stwierdzić, że obecność polskich okrętów wojennych na Morzu Śródziemnym ma nie tylko operacyjny, ale także polityczny i moralny charakter.

Sir Andrew Cunningham przejął obowiązki Pierwszego Lorda Morskiego /właściwie należało by mówić — Pierwszego Lorda Morza, tak jak się mówi — Lord Admiralicji, czy Lord Pieczęci/ od Admirała Dudley-Pound, złożonego ciężką chorobą. Admirał Pound był jedynym naczelnym dowódcą pośród sił Sprzymierzonych, w szczególności brytyjskich, który wytrwał na swym stanowisku od początku wojny. W międzyczasie na odpowiednim stanowisku w Wojsku zmieniło się trzech, a w Lotnictwie dwóch naczelnych dowódców.

Pierwszy Lord Morza jest równocześnie Naczelnym Dowódcą Marynarki, podczas gdy Pierwszy Lord Admiralicji jest osobą cywilną — odpowiednikiem Ministra Marynarki. Trzej naczelni dowódcy Wojska, Marynarki i Lotnictwa są równorzędni, tak jak równorzędni są ich ministrowie. Ponad nimi jest premier i ściśla Rada Wojenna.

ADMIRAŁ POUND

Admirał Sir Dudley Pound zmarł akurat 21 października, w rocznicę bitwy pod Trafalgarem. Dzień ten, jak wiadomo, obchodzony jest uroczyście w całej Anglii.

21 października 1805 roku, Nelson na czele 27 okrętów liniowych oraz kilku fregat, zniszczył połączoną flotę francusko-hiszpańską, złożoną z 33 okrętów liniowych i kilkunastu fregat oraz korwet i dowodzoną przez admirała Villeneuve. Zwycięstwo to stało się przyczyną późniejszych niepowodzeń Napoleona i słusznie mówi się, że nie Waterloo, ale Trafalgar zadecydował o zwycięstwie w stuletniej wojnie z Francją. To co się stało w dziesięć lat później pod Quatre Bras, Belle Alliance i Waterloo było już tylko logicznym skutkiem Trafalgaru.

Nelson poległ wprawdzie pod Trafalgarem na pokładzie swego okrętu "Victory" /do dziś dnia zachowanego w Portsmouth/, ale duch wielkiego wodza morskiego był tak wielki, oddziaływanie jego doktryny na podwładnych tak silne, że bitwa została rozegrana i wygrana już bez udziału Nelsona. Jego podkomendni — z admirałem Collingwood na czele — przeprowadzili do końca i w myśl zasad Nelsona — całą operację, uwieńczoną jednym z największych i najdonioślejszych w skutkach zwycięstw świata.

Podobieństwo z chwilą obecną jest duże, nawet biorąc pod uwagę wszystkie zmiany taktyki i techniki wojennej. Jak wówczas, tak i dziś morze decyduje o losach państw i narodów, odgrywa decydującą rolę w wielkich przesileniach międzynarodowych. Jak wówczas, tak i dziś panowanie Wielkiej Brytanii na morzach zadecyduje o zwycięstwie, mimo lądowych zwycięstw Hitlera. Jak wówczas Nelson, tak i dziś Dudley Pound, przestał żyć w decydującej chwili, ale bitwa będzie wygrana przez jego następców. A duch zwycięstwa żyje dalej na okrętach, na których powiewa "Union Jack."

Prawda — dzisiejszej wojny morskiej nie można porównywać taktycznie z Trafalgarem. Nie jest to już jedna bitwa, ale szereg długoterminowych, zaciętych akcyj, trwających nieraz latami, jak n.p. Bitwa o Atlantyk. Tym niemniej nowy Trafalgar będzie przyczyną nowego Waterloo, w którym kiepski imitator Napoleona poniesie ostateczną klęskę.

Admirał Dudley Pound nie zginął, jak Nelson, na pokładzie swego okrętu, ale zmarł wskutek przepracowania. Dowodzenie całą potęgą morską W. Brytanii nie jest rzeczą łatwą . . . Ale duch, doktryna i kierunek raz nadane tej wielkiej machinie wojennej doprowadzić muszą do zwycięstwa. "Bo kto panuje na morzu — panuje nad światem" /Raleigh/.

W myśl życzenia wielkiego admirała — ciało jego zostanie spalone, a popioły przekazane morzu.

NA PACYFIKU

Wyprawy amerykańskie na wyspy Wake i Marcus miały charakter raidów zwiadowczych. Tym niemniej brały w nich udział duże siły morsko-lotnicze. Raz jeszcze przypomnieć wypada, że jeśli rdzeniem eskadr oceanicznych /a nawet nieoceanicznych/ staje się lotniskowiec, to nie może on działać sam. Trzeba mu dać odpowiednią eskortę w postaci zespołu pełnowartościowej taktycznie eskadry.

W wyprawie na wyspy brało udział około 100 okrętów wojennych i 300 samolotów. Ani jeden okręt nie zatonął, mimo dość silnego przeciwdziałania Japończyków na morzu /okręty podwodne i ścigacze/ oraz w powietrzu. Straty lotnictwa amerykańskiego wynosiły 27 samolotów — japońskich zestrzelono ponoć znacznie więcej.

Fakt, że flota Oceanu Spokojnego może działać na tak wielkich odległościach od baz U.S.A. świadczy, że panowanie na morzu utrwala się w rękach "Wuja Sama."

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Okręt podwodny R.P. "Sokół" znalazł się znów na łamach komunikatu oficjalnego. Zatopił dwa statki niemieckie, a ostrzelał trzeci.

Uprzednio "Sokół" — akurat w chwili zawieszenia broni z Włochami — znajdował się na Adriatyku. Pierwszy wpłynął do włoskiego portu Brindisi i wykonał tam swe zadanie. W rezultacie akcji "Sokoła" kilka statków włoskich oraz dwa okręty podwodne szczęśliwie dotarły do jednego z portów brytyjskich.

Podkreślić należy, że łącznikowemu oficerowi brytyjskiemu oraz dwu polskim marynarzom z załogi "Sokoła," którzy wysiedli na ląd, Włosi urządzili entuzjastyczne przyjęcie.

JULIAN GINSBERT

List z Australii

Sydney, w czerwcu 1943

Mało słyszało się tu, na końcu świata o Polakach, jeszcze mniej zaś o ich związku z Australią. Wprawdzie prospekty hotelu na górze "Kociusko" informują turystów o osobie i życiu wielkiego Polaka, wspominając o "klęsce pod Racławicami," wprawdzie tu i ówdzie słyszał ktoś o Pawle Strzeleckim, teraz zaś pisze się często i mówi o wielkim pianiście polskim, stale tu mieszkającym, Ignacym Friedmanie, jednak lista taka byłaby bardzo uboga. Ale trafiają się niezmiernie osobliwe skojarzenia polsko-australijskie, tym osobliwsze, iż tak rzadkie.

Tak na przykład pierwszy Australijczyk, mianowany Generalnym Gubernatorem tego kraju, *Chief Justice* Sir Isaac Isaacs, był synem emigrantów z Polski. Niedawno emerytowany dyrektor Biura Federalnego Parlamentu w Canberra, p. Broinowski, jest synem polskiego lekarza, od lat tu osiadłego. W tych dniach poznałem tutaj porucznika 9-ej Dywizji A.I.F., Karola Zbotkowskiego. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, powitał mnie /a później pożegnał/ uroczyście słowem: "dżendobri." Nauczyli go tego dopiero żołnierze Brygady Karpackiej w Tobruku. Urodził się w Australii, i choć ma o tym słabe pojęcie, z dumą okazuje swe dokumenty, na których zarówno imię, jak i nazwisko podane są w oryginalnym brzmieniu.

Obecnie przybyła osobliwa kartka do naszego albumu pamiątkowego. A było to tak. Pewnego dnia wszedł do pokoju wojskowy australijski i bardzo poprawną polszczyzną oznajmił:

—Jestem Guilford Władysław de Teliga. Dzień dobry panom.

Wysoki, postawny, ogorzały, o skroniach przyprószonych siwizną wojskowy, wywołał na obecnych spore wrażenie. Wrażenie to nie ustąpiło po wymianie kilku zdawkowych słów, gdyż to, co p. Teliga miał do powiedzenia, bynajmniej nie było zwykłą konwersacją towarzyską. Z urywków rozmowy, z pytań i odpowiedzi, ze wspomnień i fotografii udało się odtworzyć w głównych zarysach niezwykle *curriculum vitae* tego niecodziennego globtrottera.

Urodzony w końcu ubiegłego stulecia w Anglii, z ojca ziemianina polskiego i matki Angielki, młody Teliga kończy Cambridge z tytułem *Master of Science*, specjalizując się w zoologii, palentologii i antropologii. Przechodzi kurs oficerski armii angielskiej. Wybucha wojna światowa i rząd rosyjski domaga się jego stawienia do służby wojskowej w Rosji — na zasadzie rosyjskiego poddaństwa jego ojca. Przechodzi więc kurs oficerski w szkole wojennej w Tyflisie.

W tym miejscu przerywam /Gruzja, to przecież ojczyzna . . ./:

—Czy zetknął się Pan ze Stalinem?

—Tak, jak przez mgłę sobie przypominam jego twarz. Widziałem go na przedmieściu Tyflisu, Gore.

Epizod ten nie miał wpływu na dalszy przebieg tej zadziwiającej kariery. Wysłany — już jako oficer rosyjski — do Francji, wstępuje do Legii Cudzoziemskiej w Bayonne. Przeszedłszy kurs oficerski w Staint Cyr, wstępuje do Armii gen. Hallera zaraz po jej powstaniu. Służy w stopniu porucznika, przy czym do przełożonych jego należy major /obecnie generał/ Zając.

Po powrocie do Polski odbywa kampanię 1918 — 1920, otrzymując "Krzyż Walecznych" za udział w walkach o Kowel. Rok 1921 zastaje go na stanowisku Komendanta wojskowego m. Tczewa, za co otrzymuje od Niemców honorowy tytuł "*Der Tolle Hund aus Dirschau.*" Od 1924 — 1926, jako oficer Korpusu Obrony Pogranicza, jest oficerem łącznikowym przy wojewodzie wołyńskim, Dębskim, po czym wraca do pułku macierzystego /55 pp. w Lesznie/ w stopniu kapitana — dowódcy kompanii.

Przebywa w Anglii na urlopie, kiedy w Polsce następuje przewrót majowy. Oceniając dość pesymistycznie swe szanse utrzymania się w wojsku wobec przeprowadzanych zmian personalnych, nie wraca do kraju, natomiast decyduje się wyemigrować do Australii, dokąd też niezwłocznie wyrusza.

Po nieudanym doświadczeniu na polu gospodarki rolnej nawiązuje kontakty naukowe z tutejszym muzeum i innymi placówkami i wyrusza na ekspedycję naukową do Północnej Australii. Bierze potem udział w kilku ekspedycjach /jedną z nich prowadził prof. Shavill z Harvard University, U.S.A./. Zdobywa szereg okazów fauny i flory dzikiej dżungli australijskiej.

Nie byłby jednak godzien kraju, w którym przebywa, gdyby przez cały czas "*stick to one job.*" Australijczyk, godny tego miana, jest niezmiernie wszechstronnym stworzeniem. Potrafi — zależnie od humoru czy kaprysu — być po kolei robotnikiem portowym, aplikantem adwokackim /stanowisko "*articled clerk*" nie wymaga ukończenia studium prawa/, kelnerem, marynarzem, robotnikiem drogowym, bookmaker'em, aby wreszcie skończyć jako farmer lub członek parlamentu. Zgodnie z tą australijską zasadą p. Teliga prowadził przez czas pewien szkołę fechtunku, do której uczęszczało ok. 200 uczniów, był właścicielem biura mierniczego oraz wystąpił z inicjatywą założenia w Australii farm krokodylowych na wzór podobnych hodowli w Ameryce.

Że jednak natura ciągnie wilka do lasu, więc wraca do dżungli północy, gdzie prowadzi prace miernicze i poluje na bawoły, krokodyle i kangury. Tam też, przyniesiona przez tubylca, dociera doń wieść o ataku na Polskę i przystąpieniu Imperium Brytyjskiego do wojny z Niemcami. Reakcja jest natychmiastowa i prawdziwie polska. Nie czekając na powrót tubylców, wysłanych po żywność, nie tracąc czasu na zwinięcie, czy zlikwidowanie obozu, rusza inż. Teliga na południe i w pierwszym ośrodku zgłasza swój ochotniczy akces do Australijskiego Korpusu Ekspedycyjnego /*A.I.F.*/. Wiek jest poważną przeszkodą, początkowo więc służy w batalionie garnizonowym. Po pięciu miesiącach służby, "odmłodziwszy się" wobec władz na lat 35, wstępuje jako szeregowiec do A.I.F. Po przejściu kursu oficerskiego wyjeżdża w stopniu sierżanta na Środkowy Wschód.

Znowu przerywam fascynującą opowieść:

—Dlaczego nie starał się Pan o stopień oficerski. Przecież, jako oficer czterech armii, miał pan niewątpliwie poważne kwalifikacje w młodej armii australijskiej.

—Widzi Pan, nie chciałem się zbytnio wiązać. Ostatecznie ja uważam się przede wszystkim za oficera polskiego i wyjeżdżałem z zamiarem przeniesienia się do armii polskiej. Obawiałem się, że posiadanie stopnia oficerskiego w armii australijskiej może mi sprawę skomplikować.

—A jak było naprawdę?

—Przeszedłszy z dodatnim wynikiem kurs oficerski miałem szanse otrzymania "*commission.*" Jak już Panu wspomniałem, nie chciałem jej wtedy. Gdy jednak przybyłem na miejsce, musiałem szybko dojść do przekonania, że przeniesienie do armii polskiej było bardzo utrudnione, ponadto zaś postawiłoby pod znakiem zapytania możliwość mego powrotu do Australii, gdzie zostawiłem żonę i dwóch synów.

W tym miejscu nasz rozmówca przerywa swe opowiadanie, by pochwalić się, że obaj synowie poszli w jego ślady. Jeden leczy w szpitalu polowym "*somewhere in Australia*" rany z walk z Japończykami na Nowej Gwinei, drugi zaś ukończył trening w R.A.A.F. i teraz oczekuje na przydział do formacji bojowej.

—Po przybyciu do Egiptu zostałem starszym sierżantem w batalionie szkolnym. Gdy jednak rozpoczęła się ofensywa gen. Wavella, zgłosiłem prośbę o przydział frontowy. Gdy mi go odmówiono, zerwałem swą koronę sierżancką i poszedłem na front, jako *private*. Powróciłem szybko do poprzedniej rangi i objąłem dowództwo drużyny, którą prowadziłem nieprzerwanie od zwycięskich ofensyw na Bardię i Tobruk aż do tragicznej wyprawy do Grecji. Tam zostałem ciężko ranny w stos pacierzowy, więc wyewakuowano mnie wprost do szpitala w Palestynie, gdzie spędziłem 7 miesięcy.

—Czy zetknął się Pan na Wschodzie z Polakami?

—O tak, widziałem gen. Zająca, prof. Rouperta.

—Jakie wrażenie odniósł Pan ze swej służbie frontowej w formacjach australijskich?

—Ach, panie, to są nadzwyczajni żołnierze, po prostu nieustraszeni. Wiedząc, że nie jest to pierwsza wojna, w której biorę udział, mieli do mnie dużo zaufania. Twierdzili, iż póki "*count*" jest z nimi, nie może im się stać nic złego. Uczyłem ich, by atakując na pustyni, szli śmiało naprzód, nigdzie się nie zatrzymując. I czy uwierzy Pan, że ci młodzi chłopcy, pierwszy raz w ogniu, ani razu nie wyłamali się z linii ataku na piaskach libijskich! Są oni naprawdę znakomici.

—Czy zetknął się Pan z przejawami przyjaźni polsko-australijskiej, o której się tyle teraz słyszy?

—Gdziekolwiek spotkali się Australijczycy i Polacy, zbliżenie było błyskawiczne. Niech Pan nie zapomina, że i my i oni jednakowo skorzy jesteśmy do wybitki i wypitki — dodaje z uśmiechem.

Rozmowa się przeciąga. Pani Teliga, znacznie młodsza od swego małżonka i bardzo przystojna Angielka, jest wyraźnie zmęczona rozmową, z której ani słowa nie rozumie. Na zakończenie pytam więc tylko mego rozmówcę o plany na przyszłość.

—Obecnie jestem instruktorem *Voluntary Defence Corps* /odpowiednik *Home Guard* w Anglii/ w stopniu chorążego /*Warrant-Officer 2nd Class*/. Mam nadzieję otrzymania stopnia oficerskiego, stan zdrowia jednakże nie pozwala mi myśleć o służbie frontowej.

—A po wojnie?

—Po wojnie wracam do Polski, choć nie wiem, czy będę mógł wrócić do swoich majątków. Nie będę się o to kłócił, bo choć ziemianin i szlachcic, jednak uznaję prawo innych do poprawy bytu. Wrócę w każdym razie.

—Do zobaczenia więc w Warszawie.

—Do zobaczenia, i to szybko . . .

RYSZARD KRYGIER

List z Kanady

Winnipeg, w lipcu 1943

Jakże łatwo jest pisać o kraju, w którym bawiło się dwa dni. Autor czuje się pewny siebie, śmiało spisuje pierwsze wrażenia, dorzuca garść szeroko zakrojonych uogólnień — obraz gotowy. Nie wiem czy pobyt dwudziestoletni ułatwia sprawę, albowiem nigdzie na obczyźnie nie zagrzałem miejsca. Od pół roku przebywam w Kanadzie — włosy stają dębem na głowie na myśl o wydawaniu sądów o tym kraju. Mogę oczywiście zaczerpnąć z byle podręcznika dane statystyczne o wspaniałym Dominium, mogę, zrobiwszy parę wywiadów wśród starej i nowej Polonii, zabrnąć w wywody o roli emigracji, o sprawach ukraińskich, o przyszłości tych obszarów olbrzymich nawet na miarę amerykańskiego kontynentu. Sądzę jednak, że mijałbym się zbyt często z prawdą, by mi to mogło ujść na sucho.

Kanada jest naprawdę wielka: 3 i pół miliona mil kwadratowych powierzchni, jest większa od Stanów Zjednoczonych, nieco mniejsza od Europy. W jednej tylko prowincji Quebec można by pomieścić trzy Polski i to wygodnie. Tej ziemi, która obfituje w przeróżne kruszcze cenne, jak złoto i najcenniejsze w czasie wojny lekkie metale, której obszar prerii /trzy prowincje: Manitoba, Saskatchewan i Alberta/ jest jednym z największych śpichrzów zbożowych świata, brakuje jednego tylko: ludzi. Liczba 11 milionów mieszkańców nie może zaimponować nikomu. Skoro jednak weźmie się pod uwagę wysiłek wojenny Kanady, nieustanną pracę w kierunku wzmożenia tegoż potencjału, rozbudowę przemysłu—wtedy dopiero pojmuje się, jak wielkie i trudne zadania miał do spełnienia rząd Kanady.

Od dwóch tygodni jestem w Winnipegu, w mieście stołecznym prowincji Manitoba. Winnipeg do niedawna szczycił się największą liczbą Polaków, ma się rozumieć, starych emigrantów. Dziś bije go Toronto, stolica Ontario, jeden z największych ośrodków przemysłu. Chodzi o skromne 500 głów, na dziesięć tysięcy z okładem rodaków, owe pięćset— zdobyte przez Toronto w latach wojny. Pomimo to Winnipeg jest wciąż jeszcze ośrodkiem polskiej emigracji, polskich farmerów rozsianych na równiach prerii. Przemysł odbiera farmerstwu pracowników, przemysł daje zarobek pewny i większy.

Przybyłem tutaj z Ottawy, stolicy całej Kanady, w drodze na zachód ku wybrzeżom Pacyfiku. Nie powiem, by zachwalane pagórki wznoszące się nad Gatineau River zachwyciły mnie po przybyciu do Ottawy. Wspomnienie Gubałówki urastało do widma Mount Everest'u na widok tych skromnych wybrzuszeń ziemi. Dzisiaj jednak, gdy po 36 godzinach jazdy koleją, wypadłem z lasów wyrosłych na granitowych złomach i płytach, z sieci jezior i rzek na Wielkie Równie, owe wybrzuszenia podottawskie całkiem imponująco kształtują się w pamięci.

Tu jest naprawdę płasko i równo. Ziemia wypoczywa na wznak, niebo jest kopułą nie opartą na horyzoncie, lecz zapadającą gdzieś w przepaść poza widnokręgiem. Jestem w sercu kontynentu północno-amerykańskiego, na północnym skraju prerii, płynących tu od Texas. Wszystko się zmieniło. Przepadły niskie lasy i niezliczone zwierciadła wód w północno-zachodnim Ontario rzadko przetykanym ludzkimi osadami. Kraj zgoła nieruszony, chyba puszcza — pożarem, a jeziora — canoe i motorówką, w ostatnich czasach — hydroplanem. Przepadła skała, nędznie okryta humusem. Ziemia poczerniała, drogi jak z bicza strzelił, młoda ruń pszenicy, łąki, tu i tam na widnokręgu elewatory na zboże. Świadomość, że *Canadian National Railway* może mnie przerzucić w 24 godziny w góry: Rocky Mountains, góry najlepszej klasy, których szczyty sięgają 20 tysięcy stóp, dodaje w moich oczach uroku tej urodzajnej, nieskazitelnej płaskości.

Przez półroczny okres mego pobytu w Kanadzie naczytałem się i nasłuchałem wiele o tym kraju. Prawie tyle, bym miał zupełny mętlik w głowie. Przybyłem tutaj z tamtej połówki kontynentu, z kraju, który też nie grzeszy małością, a mieszkańca stref umiarkowanych bije po łbie egzotyzmem przyrody — z Brazylii. Nie ułatwiło to przedsięwzięcia — poznania, choćby liźnięcia spraw: *The Dominion of Canada.* Starali się pomóc wszyscy. Polacy starzy i nowi, nasze władze i wszyscy poznani Kanadyjczycy. Jak dotąd poznałem jedno: dobroć i uprzejmość obywateli tego kraju. No i czarującą, fajną, prostotę tych ludzi, tak dla polskiego inteligenta trudną do naśladowania.

Zaczęło się już na granicy. Bądź co bądź człowiek miał już niejaką wprawę w zawieraniu znajomości z biurokracją różnych krajów. Rewizja i spowiedź z całego życia była jakby wstępem do wszelkiej innej działalności granicznych urzędów w stosunku do Europejczyka. Pełne wdzięku rozmowy jakimś łamańcem językowym, trwały nieraz długo i człowiek czuł się coraz bardziej przestępcą, gotowym do złożenia zeznań, byle by już wyskoczyć na dwór i napić się coca-coli. Tym razem zostałem zaskoczony. Anim się spotrzegł, jak znalazłem się w Kanadzie. Grzeczny pan wziął paszport potem oddał i podziękował. Byłem nauczony, że tylko ja powinienem dziękować.

W godzinę później znalazłem się w objęciach rodaków w Montrealu. Po paru dniach pobytu, ktoś zwrócił mi uwagę, że powinienem się zameldować. Pytam oczywiście o urząd policyjny. — "Nie, nie, pójdziesz na pocztę i zameldujesz się przy okienku." — "Co? Przy okienku? — takim zwykłym, od listów i paczek?" — "No tak, mój drogi, czemu masz taki dziwny wyraz?" Istotnie zameldowałem się na poczcie. Trwało to dziesięć minut. Nikt nie męczył mnie z odciskami palców, nikt nie pytał o paszport, lub moje przekonania, lub powody dlaczego opuściłem Europę. Urzędnik wystawiając dowód osobisty /nie wiem właściwie jak nazwać ten karteluszek wielkości biletu wizytowego, bez fotografii i opisu znaków szczególnych/ zapytał się mojej żony, czy umie powozić końmi. Odparła, że może niefachowo, ale potrafi. Byłem mocno urażony, gdyż mnie o nic nie spytał.

Jesteśmy teraz w środku kontynentu — niedługo ruszymy na zachód. Nasi przyjaciele z Ottawy tłumaczyli nam, że u nich czyli na "wschodzie" ludzie są już popsuci. Gościnność i uprzejmość całkiem zmarniała. — "Tu jesteśmy egoiści, ale zobaczycie tam na zachodzie. Już w Winnipegu całkiem inne panują zwyczaje. A w British Columbii . . ." Przyznam się, że tu w Winnipegu istotnie nie można się uskarżać na ludzi.

Ale tacy są oni wszędzie. Wszędzie, to znaczy tam, gdzie byłem dotąd, a to jest niezbyt wiele. I to może już klimat taki, bo Kanadyjczykom wtórują inne narodowości z nami włącznie. Z nami, starymi Polakami i naszą władzą włącznie.

W Ottawie mało jest członków starej emigracji. Przed wojną cicha stolica pozbawiona przemysłu, nie mogła być ośrodkiem zarobku dla wychodźstwa. Świeżym dopływem Ottawa została zasilona w drugim i trzecim roku wojny, gdy do Kanady zaczęli przybywać polscy inżynierowie. Dzisiaj jest ich kilkunastu z rodzinami. Wszyscy pracują, tak zresztą jak i w innych miastach, gdzie ilość ich o wiele większa. Winnipeg "bieżeńców" posiada dziewięcioro. Część zjechała wprost od USA, część od Pacyfiku. Lecz starej kolonii jest sporo. Posiada swoje kościoły, lokale, dwie gazety.

Mecenas, Polak ze starej emigracji powiózł nas samochodem nad Lac du Bonnet do swojego letniska. Począwszy od Winnipegu, mecenas, niestrudzony erudyta, wyliczał nazwiska wszystkich farmerów rozsianych po zielonej stolnicy. Polacy, Ukraińcy, troszkę Niemców spod Stryja, czasem jakiś Fin lub Szwed. Farmy były paradne lub ubożuchne, nieraz dom mieszkalny wyglądał, że już, już się rozpadnie, zato stodoła błyszczała jak pałac.

—"Trzydzieści lat temu siedzieli na tym obszarze Anglicy, czy tam Szkoci" — objaśniał mecenas —"nie dali jednak rady. Orzekli, że to bagnisko i poszli sobie. Przyszli Polacy i Ukraińcy. Walczyli ciężko z "młakami," nie od razu ziemia nadawała się pod uprawę, lecz dzisiaj tu są jedne z najżyźniejszych gruntów w pobliżu Winnipegu. Nie w jednym miejscu rola się wyczerpała, wielu farmerów patrzy łakomym okiem na ten spłacheć zdobyty pasją Słowian do ziemi."

Odwiedziliśmy miasteczko Beau Sejour, "Boża Dziura" jak je nazywają Polacy, dożywający swoich dni w miejskich domkach, oddawszy pracę na farmie w ręce dzieci. Oprócz dwóch elewatorów, widomych znaków zbożowej kultury ziemi, wznoszą się w miasteczku: kościół katolicki, cerkiew, kościół narodowy.

Któregoś wieczora zaszliśmy do "Sokoła" na piwo. Dochodziła dziesiąta godzina i czasu było niedużo.

Przysiadł się do mnie niewielkiego wzrostu człowiek, mówiący świetnie po polsku. Wiadomo, nie był na wygnaniu w Londynie, ale ileż lat spędził w Kanadzie. Zdaje się, czterdzieści trzy lat, z małą przerwą podczas tamtej wojny, gdy służył w armii polskiej. Był już zwolniony, gdy wybuchła wojna bolszewicka, więc przedłużył jeszcze swój pobyt i znów się zaciągnął. Potem wrócił do Kanady.

—"Mało widziałem z Polski" mówił mi — ale drudzy opowiadali mi, że tam są takie śliczności, że nawet trudno to opisać. Jak się wojna skończy, to wyślę moją żonę z Helcią i Brońcią, mam takie bliźniaczki, by se oglądnęły te cuda. Nie myśli Pan, że wojna skończy się w tym roku?"

Cóż mogłem powiedzieć? Wyszliśmy na dwór. Niebo było wysokie, na zachodzie jeszcze jaśniało, rodacy siadali do swoich wozów /samochodów/, grzecznie się żegnając. Było obco i swojsko zarazem. Miasto błyszczało neonami, Ulicą Portage — szeroką niczym paryskie Champs Elysées ruszyliśmy do domu.

RAFAŁ MALCZEWSKI

NA TUŁACZYCH SZLAKACH: JUNACY



Lekcja geografii



W izbie szkolnej



Pobudka



Modlitwa przed jedzeniem



W świetlicy

Po Wrześniu niezliczone rzesze Polaków rozbiegły się, dobrowolnie lub przymusowo, po całym niemal świecie. W czasie obecnej wojny Polacy są wszędzie. Od północnego Sybiru do południowej Afryki, od Wysp Brytyjskich po Indie i Amerykę. Mimo jednak takiego rozproszenia, wszędzie gdzie bije serce polskie, bije ono w ten sam rytm. Ożywiają je te same myśli, uczucia i pragnienia.

Na szlakach tułaczych opasujących cały glob, prowadzących do jednego celu, znalazły się też — dzieci polskie. Dużo o nich pisano, poświęcając im wiele serdecznego uczucia i troskliwości, jednak znamy niewiele faktów o ich życiu. Korzystając dziś z obecności jednej z osób, która przed paru tygodniami widziała obozy junaków i młodszych ochotniczek w Palestynie i w Egipcie zebraliśmy dla czytelników garść informacyj o nich. Obozy te — są to dziś największe na świecie szkoły polskie.

—Jakie są pokrótce dzieje junaków i ochotniczek? — brzmi nasze pierwsze pytanie.

—Są to w przeważającej większości dzieci, które znalazły się w Rosji w wiadomych okolicznościach. Są to dzieci pochodzące ze wszystkich warstw społecznych. Przeważnie z Kresów Wschodnich. Gdy zaczęły się formować Polskie Siły Zbrojne w Z.S.R.R. dzieci te — wśród których wiele jest sierot — nie mogły być wcielone w szeregi wojska. Wyodrębiono je i zebrano w pierwszych obozach junackich, Karkin-Batasz, Guzar, Kitab, Wrenck — oto pierwsze ich etapy, nieraz bardzo ciężkie.

Z pierwszą i drugą ewakuacją młodzież ta znalazła się w Persji, a potem w Iraku. W maju 1942 junacy przybyli do Palestyny. Tutaj zostali podzieleni według wieku, przygotowania szkolnego, uzdolnień i zamiłowań oraz rozmieszczeni w wojskowych obozach szkolnych w dziewięciu miejscowościach Palestyny i Egiptu. Razem jest około 3.000 chłopców, którzy nazywają się junakami lub kadetami oraz około 600 dziewcząt, zwanych młodszymi ochotniczkami — wszyscy w wieku od około 14 do 18 lat.

—Jakie są typy szkół?

—Dla najmłodszych istnieją szkoły powszechne. Jest ich trzy; dwie dla junaków i jedna dla młodszych ochotniczek. Oparte są one na programie nauczania dla polskich szkół powszechnych. W szkołach tych są również specjalne klasy dla uczniów opóźnionych w nauce.

Dalszy typ stanowią szkoły średnie, ogólnokształcące: Szkoła Kadecka, posiadająca cztery klasy gimnazjalne oraz żeńskie gimnazjum i liceum o typie humanistycznym. Szkoły te również oparte są na polskim programie nauczania. Program ten, w porównaniu z programem w Polsce został — że tak określę — unowocześniony. Wprowadzono więc n.p. do szkół ogólnokształcących, jako obowiązkowy przedmiot, naukę o motorze i naukę jazdy samochodowej.

Ostatni typ szkół stanowią różnego rodzaju szkoły zawodowe. A więc gimnazjum mechaniczno-lotnicze, 5 szkół mechanicznych i szkoła powszechna kompanii łączności, kształcąca do służby łączności w wojsku. Dla dziewcząt istnieje jeszcze kurs spółdzielczo-handlowy.

—Specjalne zainteresowanie budzą szkoły mechaniczne, z których otrzymamy przyszłych kwalifikowanych rzemieślników, tak ważnych dla odbudowy Kraju. — Pytam więc o szczegóły.

—Szkoły mechaniczne mają na celu przygotować ludzi, którzy obok ogólnego wykształcenia przysposobieni by byli do samodzielnego wykonywania zawodu jako ślusarze, tokarze, kowale, spawacze, puszkarze, rusznikarze, blacharze, elektrotechnicy, mechanicy samochodowi i precyzyjni oraz mieliby możność dalszego kształcenia się w szkołach zawodowych wyższego stopnia. W okresie wojennym szkoły te dać mają również żołnierza wykwalifikowanego zawodowo i przystosowanego do potrzeb nowoczesnego wojska.

Uczniowie szkół mechanicznych uczą się swego zawodu zarówno praktycznie jak i teoretycznie. W teorii przerabia się organizację przedsiębiorstwa, materiałoznawstwo, technologię metali, maszynoznawstwo oraz rysunek odręczny i zawodowy. Praktycznie wszyscy junacy uczą się najpierw ślusarstwa, które daje im podstawy techniki pracy i znajomości materiału. Potem praktyczna nauka prowadzona jest w specjalnych grupach, w angielskich warsztatach wojskowych.

—Jaki jest program wychowania?

—Oprócz nauki, szkoły mają za zadanie wychować żołnierza i obywatela, zastąpić utracony dom rodzinny, zastąpić również niejednokrotnie utraconych czy zaginionych rodziców.

Cele wychowawcze następująco sprecyzował wobec junaków i ochotniczek dowódca Szkół Junaków ppłk. Ignacy B., który tyle serca i umiejętności włożył w zorganizowanie i prowadzenie szkół:

"... *Aby stać się dobrymi obywatelami Rzeczypospolitej* — mówi dowódca Szkół Junaków — *musicie przygotowywać się do oczekującej w Polsce pracy odbudowy i utrwalenia jej niepodległego bytu. Gorąco tego pragniemy. Nie ulega jednak wątpliwości, że większość z was będzie jeszcze musiała wziąć czynny udział w walce o odzyskanie niepodległości, w walce ciężkiej i krwawej. Stąd wynika najważniejsze zadanie — wychowanie dobrego żołnierza.*

"Dobry żołnierz ... Czy inny jest, niż dawniej? Czy współczesna technika walki zmieniła pojęcie dobrego żołnierza! Na pewno nie! Zmieniły się warunki, lecz zasady pozostały te same — charakter człowieka jest nadal decydujący.

"Dobry jest żołnierz, który przede wszystkim uświadamia sobie o co ma walczyć, który chce i potrafi się bić, potrafi nie tylko władać sprzętem, ale również psychicznie znieść zjawisko nowoczesnej wojny.

"... Chęć walki — drugi element dobrego żołnierza jest także w nas wszystkich. Ale sama chęć nie wystarcza, zawodzi często w chwili rozstrzygającej, kiedy trzeba przełamać siebie, obawy i wahania i zdobyć się na największy wysiłek, gdy trzeba pójść naprzód, choćby samemu przeciw wszystkim. Niezbędna wreszcie jest umiejętność władania nowoczesnym sprzętem, którego różnorodność i działanie wymaga najwcześniejszego zaznajomienia się z nim.

"Świadomość, chęć walki i umiejętność techniczna dojść mogą do pełnego głosu dopiero wtedy, gdy towarzyszy im wytrzymałość psychiczna.

"... W ściśle uregulowanym aparacie zmechanizowanej wojny szczególną rolę odgrywają dokładność, punktualność i obowiązkowość. Przykładów dostarcza każdy dzień tej wojny. Powodzenie akcji zależy od zgrania w czasie i przestrzeni poszczególnych rodzajów broni — lotnictwa, czołgów, piechoty ,i artylerii ... Sumienność, dokładność, punktualność — to cechy, które musimy w sobie wyrabiać, aby być dobrym żołnierzem a poprzez tę szkołę żołnierską — i dobrym obywatelem."

Specjalną troskę przywiązuje się do odpowiedniego zorganizowania nauki własnej, wypoczynku, sal jadalnych, świetlic /wielka tu pomoc Y.M.C.A./, kultury życia codziennego i towarzyskiego. W pracy tej wielkie usługi oddają ochotniczki Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, które najmłodszym junakom niejednokrotnie zastępują serdeczną opiekę utraconej matki.

Trzeba również dodać, że młodsze ochotniczki zaznajamiają się z tajnikami gospodarstwa domowego. Mają one co pewien czas dyżury w kuchni, gdzie uczą się gotować, zmywać i t.p. pod fachowym okiem stałego personelu.

—Jak są zorganizowane obozy szkolne?

—Obozy szkolne są prowadzone przez wojsko. Całość więc szkół przypomina organizację batalionu z tym, że każdy obóz — szkoła jest jak gdyby pododdziałem. Dowódca Szkół Junaków ma jednak do pomocy organ ściśle fachowy w sprawach nauczania i wychowania. Jest nim Dyrekcja Nauk, jak gdyby kuratorium szkolne.

—A teraz, może niedyskretne pytanie wobec krytyk, które się pojawiły: dlaczego wojsko wzięło w swe ręce te szkoły?

—Krytyka, o ile była, pochodziła z nieznajomości rzeczy. Za zorganizowaniem szkół przez wojsko przemawiały przede wszystkim względy praktyczne. Nie było by mowy o zorganizowaniu szkół bez pomocy wojskowych władz brytyjskich w czasie trwającej wojny. W ten jedynie sposób rozwiązane zostały problemy umundurowania, wyżywienia, zakwaterowania, personelu, bezpieczeństwa i wielu innych. Tylko w ramach brytyjskiej organizacji wojskowej wszystko co potrzebne zaraz się znalazło. Anglicy dla naszych junaków zaczęli nawet szyć specjalnie małe sorty mundurowe, tak że wkrótce przestało się widzieć malców w za dużych spodniach, koszulach czy hełmach tropikalnych.

Równie ważny wzgląd stanowił fakt konieczności przygotowania tej młodzieży na najbliższą przyszłość — o ile zajdzie tego potrzeba — dla służby w Polskich Siłach Zbrojnych, najważniejszej i najchlubniejszej służby dla młodzieży w chwili obecnej.

Zresztą w obozach nie ma "ducha koszar." Są jedynie zewnętrzne formy życia wojskowego, jak pobudka, zbiórki, apele, raporty, służby. Trzeba widzieć z jakim przejęciem i ochotą salutują i meldują się junacy, by zrozumieć, że się im takie życie podoba i odpowiada w chwili, gdy cały naród walczy. Poza tym życie ich to życie internatu szkolnego.

Duży nacisk położony jest na wychowanie fizyczne. Jest też trochę musztry formalnej i wyszkolenia strzeleckiego. Ale może być Pan pewien i zapewnić innych — dodaje mój rozmówca — że wojsko nie "zabija" w nich duszy.

—Jak wygląda dzień junaka?

—Rano o godz. 5.30 jest pobudka, potem gimnastyka, porządkowanie rejonu, modlitwa i śniadanie.

Nauka rozpoczyna się o godz. 7-ej rano i trwa do godziny 11-ej. Następnie obiad i przymusowy odpoczynek a potem nauka własna. Wieczorem, po apelu i modlitwie, o godzinie 20.30 nastaje cisza nocna. Junacy i młodsze ochotniczki mieszkają w namiotach lub w barakach. Ład i porządek, jak w dobrej polskiej podchorążówce, rzucają się w oczy każdemu, kto odwiedza obozy. Dziewczęta z liceum mieszkając po cztery w namiocie mogą się urządzać indywidualnie, według własnego gustu.

Jeszcze przed pół rokiem dzieci uczyły się leżąc na piasku, dziś klasy, laboratoria i t.p. są wzorowo urządzone. Prawie wszystko własną pracą. Anglicy, którzy niezwykle serdecznie się odnoszą do "*Polish young soldiers*," bardzo wiele pomagają. Zwłaszcza wymienić tu należy sercem nam oddanego oficera łącznikowego majora Parker. Anglicy są zachwyceni naszymi obozami szkolnymi, a junacy wpłynęli na zmianę zapatrywań niektórych Anglików na Polskę i Polaków!

Dzieci otrzymują posiłki pięć razy dziennie. Warunki zdrowotne są dobre. Tak więc stopniowo naprawia się szkody wyrządzone w zdrowiu młodzieży przez pobyt w Rosji i dziś można powiedzieć, że stan zdrowotny jest zupełnie dobry.

—A teraz parę słów o nauczycielach?

—Nauczyciele — to w większości oficerowie, czy podchorążowie, nauczyciele z "cywila." Nauczyciel jest równocześnie ojcem, boną i przyjacielem. Każdy daje z siebie ogromnie dużo. Pracuje z sercem i z prawdziwym entuzjazmem. Jest ich może za mało, są przepracowani.

W szkołach zawodowych obok nauczycieli uczą fachowcy. Jest kilku inżynierów w mundurach. Instruktorami w warsztatach są Polacy i Anglicy, którzy mają kolosalną praktykę w szkoleniu. Wśród nauczycieli, jak już wspomniałem, są także kobiety, ochotniczki PSWK.

—Jak wyglądają zewnętrznie nasi junacy i młodsze ochotniczki?

—Są to dzieci czyste, dobrze ubrane, zdrowo wyglądające, ale dzieci smutne, nieumiejące się bawić, poważne. Dziewczynki może szybciej przychodzą do siebie psychicznie. Pamięć pobytu w Rosji trwa. Opowiadają o swych przeżyciach rzeczowo. Niektórym dzieciom przeżycia te utkwiły tak mocno w pamięci, że n.p. sporadycznie znajduje się chleb ukrywany w siennikach. Na zapytanie czemu to robią, odpowiadają, iż obawiają się głodu.

Są to dzieci umysłowo bardzo rozwinięte. Dają na trudne nawet pytania śmiałe, zwięzłe i jasne odpowiedzi. Są szczere i nie kłamią, przyznają się otwarcie do swych wad lub złych postępów w nauce. Nie ma krętactwa i nieśmiałości. Nastrój panuje przyjacielski. Bardzo duża religijność, dochodząca niejednokrotnie do egzaltacji.

Uczciwość duża. Podam jeden przykład. W świetlicach uczniowskich są sklepy zaufania, bez sprzedającego. Każdy bierze towar /ołówki, zeszyty, słodycze i t.p./ i zostawia pieniądze w pudełku bez kontroli. Gdy wieczorem sprawdza się zawartość pudełek nigdy nic nie brakuje.

Kar prawie nie ma. Mimo to panuje wielka dyscyplina, dyscyplina raczej wewnętrzna, a nie zewnętrzna. Najcięższą karą jest — obcięcie włosów.

Chłopacy kochają broń, ale bodaj garną się więcej do nauki, niż do wojska. Chociaż przyznać trzeba, że musztra ich i defilada są wprost wspaniałe. Niedawno zmarły Naczelny Wódz gen. Sikorski, po ich defiladzie, w czasie ostatniego pobytu wśród junaków powiedział: "Defilujecie, jak gwardia królewska."

Życie kulturalne w obozach jest bardzo rozwinięte, w dużej mierze dzięki Y.M.C.A. Wystawiono m.in. wspaniale "Halkę." Kostiumy zrobiono we własnej pracowni, własnymi środkami z worków, starych koszul i t.p., dając efekty niegorsze, niż na prawdziwej scenie. Świetlice są doskonale zorganizowane i urządzone. Dużo własnych malatur. Widać niejednokrotnie talenty. Są też talenty pisarskie i muzyczne. W obozie wychodzi pismo "Junak," świetnie redagowane, zawierające wiele artykułów pisanych przez junaków i młodsze ochotniczki.

Książki, których ciągle jeszcze jest ogromny brak i gazety są zaczytywane "na śmierć."

—Wie Pan — kończy mój rozmówca — że niebardzo dzieci lubię i łatwo się nie wzruszam, ale w czasie moich wizyt u junaków czy młodszych ochotniczek brało mnie coś za gardło. Wśród wielu "różnych" rzeczy w naszym życiu emigracyjnym widok tych młodych wzrusza i napełnia każdego nadzieją i wiarą w przyszłość. To nie frazes — naród polski, mając taką młodzież nie zginie . . .

WITOLD LEITGEBER

Junacy opowiadają o sobie

Na tych łamach przedstawialiśmy naszym Czytelnikom niejedno już pismo żołnierskie. Dziś mamy miłą okazję powitać najmłodsze wśród nich; najmłodsze nie tylko datą powstania, ale najmłodsze w tym sensie, że przeznaczone dla najmłodszych żołnierzy Rzeczypospolitej. Pismem tym jest "Junak," miesięcznik dla Młodszych Ochotniczek i Junaków na Środkowym Wschodzie, który rozpoczął się ukazywać na wiosnę b.r.

Wszędzie, gdzie na tułaczych szlakach znalazł się żołnierz polski, równocześnie z nim pojawiało się pismo polskie, jako historia jego trudu, a zarazem jako towarzysz broni, który opowiadał mu o dalekiej Polsce, kierował myślami, krzepił nadzieją. Wszystkie te pisma żołnierskie brzmiały i brzmią jednym tonem: tęsknotą za Krajem, determinacją oddania życia za Sprawę. Te same myśli, te same pragnienia i uczucia znajdujemy na łamach interesująco redagowanego "Junaka."

Powyżej dajemy garść wiadomości o życiu junaków i młodszych ochotniczek. Tu pragniemy oddać głos im samym, cytując niektóre artykuły z "Junaka." Niech opowiedzą, co przeżyli, jak teraz żyją, do czego dążą i czego pragną.

Co przeżyli? — Oto wspomnienie kadeta Juliusza B. z czwartej gimnazjalnej, zatytułowane "Na szlaku do Polski":

"Monotonny turkot parowca, miarowy chlupot szaro-mętnej wody, uderzającej o boki barki, szepty, chrapanie. Rozlaną strugą Amur-Darii płynie ciągniony przez parowiec transport: na łańcuchach cztery otyłe, niskie barki.

Jedenasty już dzień od wyjazdu z Urgenczy suną barki z Polakami, jadącymi do Farabu, do armii polskiej. Na każdej łodzi po kilkaset ludzi wymizerowanych, głodnych i wynędzniałych, w łachmanach. Koczują na dnie barek o trzech lukach, na stosach betów i różnych gratów, skrzyń i skrzynek, marnych resztek uratowanego dobytku. Śpią niemal jeden na drugim: wzdłuż i wszerz — ciała, głowy i ręce, strzępy kołder i pierzyn, szmaty i łachy. W tym wszystkim baraszkują wynędzniałe dzieci, godzące się ze śmiercią i głodem, inne — chore, przykryte stosem szmat, leżą, jęcząc z cicha, a oczy skrzą im się chorobliwym blaskiem.

Matki klecą na pokładzie nikłe ogienki, warząc resztki kaszy, jęczmienia lub dżugary.

Dzień w dzień staczają się do rzeki nowe ofiary. Dzień w dzień znajduje się bezdomne ciała o wygiętych żebrach, naciągniętej skórze; dzień w dzień na kilkuminutowych przystankach ze szlochem i jękiem wynoszą z każdej barki coraz to nowe ciała, okryte bielą prześcieradeł i chust lub rzadko, bardzo rzadko trumienką, z pak skleconą.

Dnie mijały, ludzie ginęli, mogiły rosły, a łodzie jednak płynęły do celu."

* * *

Jak teraz żyją, co robią? — Wiele jest opisów na ten temat w "Junaku." Jeden z nich Tadeusz F. z pierwszej klasy mówi, o nauce w gimnazjum mechaniczno-lotniczym:

"Powoli płyną dni nauki i ćwiczeń. Przelatujący czasem samolot wzbudza podziw, niejeden wzdycha pokryjomu, wyobrażając siebie w samolocie, innemu znów imponuje niebieski mundur i skrzydełka na piersi ... Tak było i ze mną. Z całej duszy pragnąłem stać się jednym z tych, którzy bohatersko zmagają się z "Messerschmittami" i biorą odwet za Wrzesień.

Z marzeń takich wyrywały mnie słowa chorążego: "Gdzie się gapisz, słoniu," "Niech ci będzie! Na razie jestem słoniem, ale jeszcze będę lotnikiem." Ba! — powiedzieć łatwiej, ale zrobić trudniej. Aż tu nowa wiadomość. Jest szkoła mechaniczno-lotnicza. Brawo! Zgłaszam się i zostaję przyjęty.

Przyszedł dzień, kiedy po raz pierwszy stanęliśmy przy warsztatach wraz z Anglikami. Od początku Anglicy nas polubili. Porozumiewaliśmy się najpierw na migi. Po dwóch, trzech dniach stanęliśmy do samodzielnej pracy. i odtąd szybko mijają dni systematycznej roboty. Pomagamy już przy naprawieniu samolotów, przy łataniu skrzydeł. Przechodzimy z działu do działu, z sekcji do sekcji, zapoznajemy się powoli z wszystkimi tajnikami mechaniki lotniczej i jej trudnościami. A trudności jest sporo, choćby to, że młotek zamiast na żelazie ląduje jakoś dziwnie na palcu ... Jednak każdą trudność uporczywie zwalczamy, aż wreszcie jest już tylko śmieszna.

Ale pracujemy nie tylko fizycznie w warsztatach, uczymy się także w klasach, uzupełniając braki, jakie powstały w tułaczce po Rosji. Nauka idzie tym łatwiej, że mamy dobrany zespół nauczycielski, że wzajemne zaufanie dopomaga nam w pracy.

Płyną dni, a z każdym coraz bliżej do Polski i coraz bliższa jest godzina, kiedy będziemy mogli zameldować się Naczelnemu Wodzowi już jako lotnicy.

Flaga podniesiona w naszym obozie, jest symbolem duchowej łączności z Krajem, wciąż nam przypominając, że — "Jeszcze Polska nie zginęła ..."

* * *

Junacy stale myślą też o przyszłości, o swych obowiązkach w wolnej Polsce. Oto parę myśli, skreślonych przez kadeta z czwartej klasy gimnazjalnej Ryszarda S. pod tytułem "Z czym powrócimy":

"Pomyślnie rozwijające się wydarzenia wojenne nasuwają każdemu myśl o zbliżającej się chwili powrotu do Kraju. Bo myśl ta jest nicią przewodnią, jedyną gwiazdą nadziei rzeszy Polaków, rozsianych po całym świecie. Każdy już sobie wyobraża powrót do rodzinnych stron, wsi czy miasta, każdy już widzi siebie, witającego dawno niewidzianych najbliższych. Lecz to potrwa krótko.

Z ustaleniem granic czyn zbrojny będzie skończony. Teraz zniszczony Kraj wymagać będzie wysiłku, pracy i wiedzy. Nie możemy zostać w tyle za innymi narodami, choć najwięcej ucierpieliśmy w tej wojnie. Już Marszałek Piłsudski mówił: "Zwyciężyć i spocząć na laurach — to klęska." Musimy odbudować fabryki i warsztaty. Musimy, oglądany dziś na ziemiach Imperium Brytyjskiego, postęp techniczny zastosować u nas. Mało dogonić, musimy innych prześcignąć! Bo centralne i decydujące stanowisko Polski w Europie Środkowej musi być poparte tak siłą zbrojną, jak i silną postawą gospodarczą.

Ale to nie wszystko.

Największe i najtrudniejsze do wyrównania straty zostały nam zadane przez zaborców w dziedzinie dorobku kulturalnego. Zwalone pomniki, spalone akta i księgi, zniszczone obrazy i dzieła sztuki nie dadzą się tak rychło odtworzyć. Wyniszczenie inteligencji polskiej, zniszczenie szkolnictwa, paroletnia przerwa w nauce stawiałaby polską kulturę jeszcze niżej. Do tego nie wolno dopuścić! Jest to najważniejsze zadanie Narodu Polskiego, by zniszczoną kulturę polską odrodzić i podnieść jak najwyżej, bo narody, które tracą ten najwyższy swój skarb, popadają w zależność od innych. Musimy polską naukę postawić na takim poziomie, by mogła sprostać olbrzymim zadaniom stawianym jej przez rozwój techniki i gospodarki. Musimy naprawić mylną a tak szkodliwą i częstą opinię o nas innych narodów — nauką i propagandą.

Kto to zrobi? W kim leży nadzieja narodu? W nas! My to musimy zrobić! My, którzy jedyni mamy możność w okresie niewoli narodu korzystać, choć na obcej ziemi, ze szkoły polskiej. My, którzy mamy szczęście modlić się i uczyć po polsku."

Uroczystość wręczania karabinów



Nauka o motorze



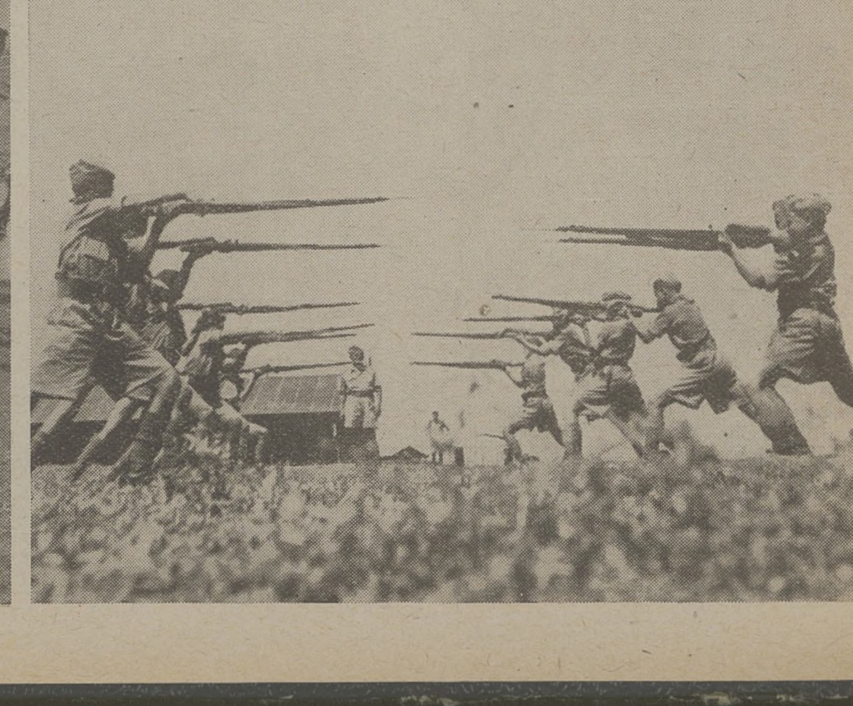
Nauka strzelania



Marsz do kąpieli



Szermierka na bagnety



Z pamiętnika pilota myśliwskiego

1940: Beauvais*

18 maja.

Wczoraj wieczorem dowódca kompanii lotniskowej, która wyjechała po nas z Cambrai opowiadał, że o godz.18 podjazdy niemieckie podchodziły pod samo miasto. Kompania spaliła 18 "Moranów," które zostawiliśmy. Niektóre były bardzo lekko uszkodzone. Na przykład jeden miał tylko postrzelane śmigło. Najpierw nie mieli śmigła do zamiany, potem gdy wpadli na pomysł, żeby je wziąć z innej maszyny, nie było klucza do śrub. I samolot poszedł z ogniem, jak i inne. Było również kilka samolotów lżej postrzelanych. Przeleciały 60-80 kilometrów z frontu, mogły więc śmiało przelecieć drugie tyle. Zostawili je również.

Lotnisko tutejsze olbrzymie. Oprócz naszego dywizjonu stoi tu jeszcze inny dywizjon "Moranów" i coś tam z "Blochów." Nareszcie nauczyli się maskować samoloty. Większość została wciągnięta do sadu poza lotnisko, a te co na lotnisku, są szeroko porozstawiane. Zresztą są to przeważnie klucze alarmowe. Działka obrony przeciwlotniczej za to eksponowane jak na dłoni. Strzelanie do nich będzie prawdopodobnie wielką frajdą. A niech no tak jeszcze przyjdzie parę nurkowców.

Gomuliński z ludźmi wziął się z punktu do kopania rowów przeciwodłamkowych. Robota pali im się w rękach. — "Uważasz, — mówi do mnie—jak mnie trafią w rowie, to przynajmniej nie będę się męczył. Najgorsze to być rannym. Boję się tego jak diabła. Człowiek jest na łasce doktorów. Robią z tobą co chcą, co im się żywnie podoba. Nie spodoba się im rączka, amputują rączkę, nie spodoba się nóżka, zrobią z nią to samo. Brr!" — wzdrygnął się.

Patrzę na jego ciężką, zasapaną sylwetkę, jak w rozchełstanej koszuli, ociekając potem wyrzuca łopatą ziemię z rowu.—"To kawał drogi od maszyn. Mogą cię przyłapać na lotnisku, zanim dobiegniesz tutaj."

—"Nie można było w innym miejscu — żali się, ale zaraz idzie po rozum do głowy — Jak mnie przydybią na lotnisku, mam na to także swój sposób." — "Jaki?" — "Wiesz z teorii prawdopodobieństwa, że istnieje bardzo mała możliwość trafienia bomby albo pocisku w to miejsce, gdzie już poprzednio jakaś bomba albo pocisk wylądował. Jak więc będą padać bomby, pomyślę sobie, że na tym miejscu gdzie leżę już spadła jedna bomba. Rozumiesz więc, że druga nie ma już żadnego prawa tam się położyć. Urągało by to wszelkim prawom matematyki..."

W południe dwa widowiska. "Bloch" zapomniał wypuścić podwozie i udawał hydro. Wylądował na stu metrach zupełnie dobrze, tylko że śmigło i kadłub do kasacji. Za chwilę alarm. Z poza horyzontu wyskakuje "Junkers 88" goniony przez dwa "Morany." Nie strzelali do niego; widać było, że nie mają amunicji, ale Niemiec może postrzelany, może ranny nie miał już zupełnie rezonu. Zobaczywszy lotnisko, wypuścił podwozie i chciał lądować. Zaatakowali go wtedy tym ostrzej i głupio niepotrzebnie. Skąd mógł wiedzieć, że nie mają już amunicji! Poderwał maszynę, wciągnął podwozie z powrotem i poparł dalej na zachód. Potem przyszła wiadomość, że zwalił się 30 kilometrów stąd.

Rano poszła wyprawa — 12 maszyn na front. Dwie nie wróciły. Zantara latał z nimi i klnie prowadzącego na czym świat stoi. Poszli w zupełnie inne miejsce, niż było nakazane. Przelecieli front, zapędzili się daleko na stronę niemiecką i stracili orientację. Że jakoś wrócili tylko bez dwóch — to cud. Co się z nimi stało nikt nie wie. Flanka nie ma ciągle i brak o nim jakiejkolwiek wiadomości.

19 maja.

Mieszkam u jakichś sympatycznych staruszków. Para gołąbków krzątających się na wzajem koło siebie. Madame pokazuje mi z dumą fotografie przystojnego kapitana artylerii: — "To mój syn. Jest teraz na Maginot." Potem jej wzrok mrocznieje — "Słyszałam, że Arras zostało zbombardowane. Co za barbarzyńcy ci Niemcy! Jak daleko pozwolą im wejść tym razem do Francji? Co pan o tym sądzi?"

Dom podskakuje i szyby dzwonią. To dobra seria: dwieście pięćdziesiątek lub nawet pięćsetek położyła się stąd o kilka kilometrów na północ. Wiadomo, że na lotnisko. Za chwilę dalsze serie. Patrzę na zegarek. Samochód powinien był już być dawno; obiecali przysłać. Nie czekając, biorę maskę, nakładam czapkę i wychodzę.

Na dworze pełno ludzi; wszyscy patrzą w niebo. Gdzieś wysoko za chmurami przelewa się poszum silników — "Co to za samoloty?" —pytają. Myślę, że trzeba być Panem Bogiem, żeby na to odpowiedzieć, ale mówię z pewną miną: —"To nasi gonią za Boszem." Twarze jaśnieją. Śmieszne, jak taka drobnostka uszczęśliwia ludzi.

Odwalam twarde kilometry po szosie na piechotę. Myślałem, że na lotnisku będą duże szkody, ale wszystko w porządku. Przyszła nieduża wyprawa. "Potez" i "Moran" znajdujące się przypadkowo w powietrzu zaatakowały ją odważnie. Wyprawa rzuciła bomby w pole i zawróciła biegiem z powrotem. Gdy już odleciała, wtedy z lotniska wystartowały "Morany" będące w alarmie i zaatakowały "Poteza" biorąc go za samolot niemiecki. Pilot ciężko ranny wylądował cało na lotnisku i wyłączywszy silniki stracił przytomność. Właśnie nadszedłem w tym momencie, gdy na środku lotniska stał postrzelany "Potez" z sanitarką obok, a "Morany" podchodziły do lądowania.

Około dziesiątej nowe widowisko. Nadlatuje jakiś "Moran" wlokąc za sobą długą, białą smugę. Samolot robi kilka małych okrążeń, nagle przechodzi na plecy, pikuje. Odrywa się mały, ciemny punkcik; tak jakby pilot wyskoczył. "Moran" pociskiem wchodzi w ziemię. Ogromny słup ognia i dymu bucha w górę. Zamarliśmy. Gdzie pilot! I wtedy nad samą ziemią zakwita spadochron. Uratował się chłopak w ostatniej chwili.

Spotykam w Beauvais Pentza z Gertnerem. Ich dywizjon, jak i nasz ma ogromne straty. Ośmiu zabitych. Dwadzieścia pięć samolotów spalili w Maubeuge, nie mogąc zabrać ich ze sobą z powodu drobnych uszkodzeń. Długoletni szef mechaników mojej 121 eskadry z Krakowa, sierżant Żak zabity bombą.

19 maja.

Niemcy werżnęli się w głąb Francji na 50 kilometrów. Gamelina zdymisjonowano. Ministrem wojny Weygand. To robi wszędzie dobre wrażenie. Leblanc podchodzi do mnie: —"Czy pan wie, co powiedział Weygand?" Twarz jego ma tyle radości i szczęścia, że jeszcze choć sam nie wiem, o co chodzi, ale już czuję się szczęśliwy także.—"Weygand powiedział, że za dwa tygodnie nie będzie ani jednego Niemca w granicach Francji."

Amiens było straszliwie bombardowane. Dużo ofiar i dużo pożarów.

W południe lecę transportowcem do montowni samolotów w Ramorantin. Ogromnie nie lubię tych podróży samolotem, który nie jest kierowany przeze mnie. Zgodnie z tym jeden z silników zaczął tak psuć lot, tak szarpać i strzelać, że rozsypania się samolotu na drobne kawałki nie można było by nazwać niespodzianką. Lądowaliśmy przymusowo na pierwszym lepszym lądowisku które popadło pod rękę, płosząc pastucha i barany.

Po pogrzebaniu się około godziny w gaźnikach, wystartowaliśmy znowu i po dziesięciu minutach ten sam silnik zademonstrował identycznie ten sam nastrój co poprzednio. Lądowaliśmy po raz drugi tym razem na lotnisku. Część pilotów została tu na nocleg, a czterech razem ze mną na innym jakimś przedpotopowym cudnopłacie dostarczono cało do Ramorantin.

Cała montownia przedstawia się jako szereg ogromnych, drewnianych hangarów z masami samolotów wewnątrz. Niektóre są w montażu. Całe wyekwipowanie niedoszłego polskiego dywizjonu, który miał iść do Findlandii— jeszcze w pakach. "Koolhoveny." Na lotnisku w dwóch zwartych zgrupowaniach około 60 samolotów już gotowych do odbioru. Niedobrze mi się robi, gdy patrzę na tę przynętę dla niemieckich bombowców. — "Szkoda, że Gomuliński tego nie widzi" —pomyślałem. O kilkaset kroków las zupełnie nie wykorzystany. — "Dlaczego?" — pytam się. — "O my tu mamy dobrą obronę przeciwlotniczą" — odpowiada jeden z oficerów. — "Proszę zobaczyć, tu jeden karabin maszynowy, tam drugi ale to jeszcze nie wszystko. Na drugim końcu lotniska są jeszcze dwa. Tu mamy schrony a tu czołg przeciwko desantom." Kpi ze mnie czy co u licha! Te schrony to zwyczajne rowy nawet nie bardzo głębokie a jakaś wyranżerowana tankietka, tak mała że dzieci nią się mogą bawić, imituje czołg. Oficer dumny, że mnie zatkało, dobija ostatnim argumentem. — "Mamy ponadto czterech pilotów myśliwskich."

Przypomina mi się Chateaudun. Tam było to samo. Operetka. I nie ma ich co przekonywać, bo żadne słowa, ani wymowa ich nie przekonają. Kojarzy mi się Łuck. Było to już w drugim tygodniu wojny. Gdy trzeba było na gwałt zamszu do cedzenia brudnej benzyny, dowódca lotniska i hangaru zawalonego sprzętem, kapitan P. rozkrzyżował się w progu, jak Rejtan z tą różnicą, że na stojąco: —"Nic wam nie wydam!" — krzyczał — "Muszę mieć upoważnienie." Zajrzeliśmy do wnętrza hangaru. Pęczniał od sprzętu, dobrego wojennego sprzętu. Zamszu było na całe lotnictwo polskie. Braliśmy wszystko, co nam było potrzebne. Kapitan się pienił.

—"Protestuję . . . Sąd wojenny . . . Bezprawie." A za dwie godziny "Junkersy" puściły hangar z dymen tak, że nie było co zbierać. Precyzyjne instrumenty, samoloty, benzyna, ekwipunek lotniczy, i zamsz paliły się tak wesoło i ochoczo i z takim żarem, że nie można było podejść bliżej do tego widowiska, niż na 100 metrów.

Co do czterech pilotów myśliwskich, dzielnych obrońców Ramorantin, okazuje się, że to są Polacy. W kasynie spotykam Mariana Opulskiego. Opowiada mi o bombardowaniu Lyonu. Żadna z bomb nie trafiła w hangar. Położyły się na polu i pośród baraków. Baraki spłonęły. Na forcie zabiło 15 polskich żołnierzy. — "Macie bronić tej montowni?" — pytam. — "Nie żartuj. Na czym! Przecież dotychczas nie dali nam żadnych maszyn, bo te, co widzisz są zarezerwowane dla dywizjonów." — "Więc co tu robicie?" — "Zbijamy bąki. Gramy po całych dniach w bilard. Z dnia na dzień. Pokazują nawet, które będą nasze. Chodzimy je głaskać i oglądać. Potem front robi gwałt o uzupełnienia i my czekamy znowu. Nie radzę ci pić aperitivu na te upały. Mają tu doskonałą grenadinę. Nie żałuj sobie lodu."

Maszyna, którą odbieram, wygląda normalnie, to znaczy nie wyobrażam sobie innej, jak właśnie taką. W kabinie pełno błota. Szyby zasmarowane tak, że ledwo przez nie widać. Rurka gumowa od tlenu przegnita. Termometr cieczy chłodzącej obraca się w kółko. Karabiny i działko nienaładowane, bo i poco! Jeżeli spotkamy po drodze Niemców, możemy im soli nasypać na ogon.

Przed naszym startem przylatuje inny transportowiec. Lądował tak śmiesznie, że o włos się nie wpakował w zatłoczenie trzydziestu samolotów. Wysypała się z niego grupka pilotów po odbiór maszyn tak, jak i my. Widzę czerwoną, znajomą gębę. Gdzie ją widziałem? Aha! Było to w Maubeuge, gdy wylądowałem tam po zabłądzeniu. Właściciel czerwonej twarzy poznaje mnie również.

—"*Comment ça va*! Tu się spotykamy. Ile macie jeszcze maszyn?" — "*Mon Dieu*! Szesnaście maszyn! Co za szczęśliwcy. Nam zostało tylko pięć. Chcemy wziąć także pięć, ale nie wiem, czy dostaniemy. Rozkaz przyszedł wysłać trzech pilotów. Nasz dowódca się uparł i kazał lecieć wszystkim, którzy nie mają maszyn." — "Macie dziesięciu pilotów tylko?" — "Tak dziesięciu. To wszytko, co zostało."

Nie chcę pytać, ale tamtemu się rozwiązał język. — "Pamięta pan tego kapitana z wąsikami, który z panem rozmawiał przy stole. Pytał pana coś o Polsce. Taki szczupły i niski. Nazywaliśmy go Mickey Mouse." — "Pamiętam." — "Zginął pod St. Quentin. Pozostał w tyle za dywizjonem, więc go tak spruli, że nikt nawet nie zauważył. Z pilota i maszyny oczywiście kupa popiołu. Rozpoznali tylko po tym, że część maski silnika odleciała w bok przy zderzeniu się z ziemią i nie została spalona. Były na niej słowa: "*Ecouter mon frère.*" Nikt inny nie miał tej nazwy na kadłubie poza biednym Micky. A ten co panu pomagał nawiązać łączność z Cambrai? Wysoki, chudy, kulawy." — "Pamiętam doskonale." — "Nie żyje także. Trzasnęła w niego bomba, gdy kulał do swego samolotu. Chłopa rozniosło w powietrzu. No a nasz operacyjny . . . ale pan go nie zna. . . ."

Wołają do samolotu. — "*Bonne chance . . . bonne chance*" — uścisnęliśmy dłonie. Czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy?

Wracamy bez przygód. Wieczorem nad Beauvais przychodzi sześć bombowców niemieckich. Nie dolatując do lotniska, musiały dostrzec startującą trójkę "Moranów." Zawróciły z miejsca ostro, zrzuciły bomby w pole i uciekły. Te dwa bombardowania ranne i wieczorne dodają nam otuchy. — "Czuję jak we mnie wstępuje lew" — mówi Gomuliński. — "Uważasz, Niemcy coś zaczynają cienko śpiewać."

20 maja.

Na froncie znowu gorzej. Rano rozlega się: "*Il faut préparer les bagages.*" Wkrótce wyrywamy całym dywizjonem do Persant Beaumont. Jest to tuż pod samym Paryżem.

Gomuliński jest zrozpaczony. Właśnie skończył niedawno kopanie rowu przeciwodłamkowego. — "Moglibyśmy teraz śmiać się z Niemców — przechwala się buńczucznie. — Tyle pracy i zachodu nas to kosztowało."

STEFAN ŁASZKIEWICZ

* Por. pierwszą część cyklu p.t. "1940: Cambrai," druk. w nr. 42 "Polski Walczącej" z b.r.

BALLADA O SZKOCKIEJ JESIENI

—Napisz o szkockiej jesieni,
Balladę, wiersz, jak wiesz,
Balladę o szkockiej jesieni
W złocie i w czerwieni! . . .

—Jesień w Szkocji jest inna od polskiej,
Deszczem nazbyt przemywana często,
Przeciera się u morza i na wrzosowiskach
Mgieł gęstwą.

Babie lato łamliwe, kruche, pojedyńcze,
Jak zamierzchłych dziejów zagubiona nić,
Wstydliwie buki wiąże i z wiatrem opada,
Aby krasnoludkom ciepłą odzież szyć.

Jeziora modrym blaskiem płoną a wyblakłym,
Marszczą się z niechęcią, skoro ryba pluśnie,
Wyprowadzają wieczór na nieboskłon,
Zanim najspokojniej dzień w ich toni uśnie.

Spalone wrzosowiska w dojrzałość kwitnącą
Stronią od dróg asfaltowych.
Wzrok wrzosu dziś nie czerwony,
Jest płowy.

Wrzosowiska biegają z góry tej na tamtą,
Poszukują choć zakątka boru,
Wiatr się napoprzek kładzie,
I piętrzy barwy wieczoru.

A na łąkach owce, zieleń łąk soczysta,
Rzekłbyś, że strumienie w niej zieleni płyną.
Owce pasą się tępo, gdy która zabeczy,
Echa spłyną dolinami, zginą.

W oczy zagląda wartkiej rzeczki
Jak w objawienie — liść zielony,
Oczy rzeczki migają, goreją niepewnie
Za złocistym liściem, żółtym lub czerwonym.

Wiatr zwołuje liście, to od się oddala,
Żeglują i padają, pod stopami chrzęszczą.
Rdzewiejące klejnoty lata
Wyproś złowrogim deszczom.

Pola podorywane, traktory na rżyskach,
Ziemniaków krze omdlewająco kołują,
A z pobliskiej farmy dym niebo rozpycha,
Nocy drogę buduje.

Schodzi noc, i ciemno bardziej czasu wojny,
Morze o nabrzeże pluszcze, o żwir dzwoni.
Społem cisza z nocą gra na kobzach świstom,
Blackout poi tysiąc w morzu koni.

To Szkocja, a nie Polska, daleko od Kraju,
Mimo, że jesień inna, barw cienie odmienne,
Tu, na ściernisku widzisz, śród buków, od wrzosów,
Polskę, twoją Ojczyznę, jak w marzeniu sennem.

A jesień jest ta sama, tyle, że późniejsza,
Jaśni zieleń, lśni złota liśćmi i czerwieni,
Ale inna, bo Szkocja, nie masz, nie masz w oczach
Takiej jak u nas w Kraju ojczystej jesieni,

Ni takiego nieba, na którym się kładą
Pyły suchych dróg polnych kurzawą, kurzawą,
Nie smutkiem, nie tęsknotą, wierszem i balladą,
Tylko Kraju naszego urokiem i prawdą.

mp, Szkocja.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

“Quod bonum, faustum . . .”

Inauguracja roku akademickiego na Polskim Wydziale Lekarskim

Pamiętamy wszyscy ten dzień z lat jeszcze tak niedawnych, a przecież tak bardzo już dziś odległych i dostępnych jedynie we wspomnieniu: inaugurację nowego roku akademickiego. Żywszy niż zazwyczaj ruch panował tego dnia w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Lublinie, Poznaniu czy Wilnie; tempo codziennego życia miast uniwersyteckich ulegało przyśpieszeniu; jak gdyby urok młodości udzielał się wszystkim, jak gdyby uśmiech radosny i zwycięski opromieniał całe miasto.

Od czterech lat opustoszały mury polskich wyższych uczelni, a nauka przeżywa najczarniejszą noc ucisku i prześladowania. Ale gdziekolwiek na wolnej ziemi znajdzie się gromada Polaków, towarzyszy jej zawsze najżywsza troska o wiedzę, oświatę i podobnie jak w różnych punktach globu ziemskiego tworzą się i walczą polskie oddziały wojskowe i zbierają ochotnicy, tak samo rozprószone po całym świecie polskie szkoły pracują nieraz w niezmiernie trudnych warunkach, byle choć w drobnej mierze wyrównać straty wojenne w dziedzinie oświaty i kultury.

Takie myśli nasuwały się każdemu, kto w dniu 11 października b.r. uczestniczył w uroczystości rozpoczęcia nowego, czwartego już, roku akademickiego na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Edynburgu. Obecność Prezydenta Rzeczypospolitej, ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, dyrektora Funduszu Kultury Narodowej, dowódcy Jednostek Terytorialnych była zewnętrznym wyrazem ogromnego znaczenia, jakie dla odbudowy wiedzy lekarskiej posiada ten jedyny dzisiaj na świecie polski wydział medyczny. Uroczystość inauguracyjna, choć po żołniersku skromna, miała w sobie coś z przejmującej wymowy symbolu, gdy prof. Jurasz, dziekan wydziału, w mundurze oficera Wojska Polskiego składał sprawozdanie z rocznego okresu pracy.

W ozdobionym sztandarami: polskim, brytyjskim i barwami edynburskiej uczelni Pollock Hall zasiedli w stallach polscy profesorowie, docenci i wykładowcy, a miejsca dla widzów wypełnili studenci, w olbrzymiej przewadze żołnierze. Obok Pana Prezydenta i Ks. ministra Kaczyńskiego usiedli dwaj profesorowie szkoccy: Vice Chancellor Sir Thomas Holland — rektor uniwersytetu, i dziekan wydziału medycyny prof. Sydney Smith, obaj wielce zasłużeni dla polskiego wydziału uczeni, odznaczeni niedawno orderem “Polonia Restituta.” Nie było przepychu barw, który zwykle towarzyszy tradycyjnej inauguracji — jedynie Sir Thomas ubrany był w togę — natomiast dominował kolor mundurów żołnierskich. Walcząca szkoła! Bo ten polski wydział istotnie walczy bronią wiedzy z potężnym wrogiem, który znieważył i zamknął polskie uniwersytety, uwięził w obozach koncentracyjnych profesorów i studentów, ograbił zakłady naukowe, wywiózł lub zniszczył biblioteki.

Od chwili jego powstania 52 studentów otrzymało dyplomy lekarzy, a 2 uzyskało tytuły doktorów. Ciągle wzrastająca liczba studentów dziś obejmuje już blisko 200 osób, głównie odkomenderowanych na studia żołnierzy.

Grono profesorów i wykładowców nie ogranicza się wyłącznie do pracy nauczycielskiej i badawczej; wielu jego członków zasiada w Państwowej Radzie Zdrowia biorąc czynny udział w planowaniu najskuteczniejszego zwalczania chorób społecznych i epidemii oraz organizowania opieki zdrowotnej dla ludności Polski wyniszczonej długą okupacją.

Niezależnie od tego współpracują polscy profesorowie w brytyjskich stowarzyszeniach naukowych uczestnicząc w zebraniach, dyskusjach i pokazach naukowych, ogłaszając drukiem 29 prac z zakresu różnych specjalności. To też na terenie międzynarodowym Polski Wydział Lekarski Uniwersytetu w Edynburgu jest dobrze znany i ceniony. Wyrazem tego uznania są dwa zaszczytne wyróżnienia dziekana prof. Jurasza, któremu “*Royal College of Medicine*” oraz “*Association of Surgeons of Great Britain and Ireland*” nadały członkowstwo honorowe.

Śladem profesorów idą studenci polskiego wydziału, biorąc żywy udział w życiu organizacyjnym swoich brytyjskich kolegów, organizując wspólne zebrania naukowe i towarzyskie, pracując w czasie wakacyj na szkockich farmach.

Stale powiększa się i rozrasta biblioteka wydziału, która zawiera już dzisiaj 757 dzieł naukowych; liczne dary, pochodzące od Polaków i Brytyjczyków, przyczyniają się do zasilenia księgozbioru, którego doniosłość w odrodzonej Polsce będzie bardzo wielka.

Z Polskim Wydziałem Lekarskim związany jest ściśle Szpital im. Paderewskiego, w którym odbywają się zajęcia praktyczne studentów dające im możność bezpośredniego zetknięcia się z polskimi pacjentami.

W swej pracy polski wydział nie jest odosobniony. Jak stwierdził w swoim sprawozdaniu prof. Jurasz niemal wszystkie resorty ministerialne /Ministerstwo Obrony Narodowej, Oświaty, Skarbu, Spraw Wewnętrznych, Opieki Społecznej, Informacji/ świadczą zarówno pomoc materialną, jak i współpracę w różnych dziedzinach. Polski Czerwony Krzyż wydatnie pomaga studentom opłacając wpisowe i taksy uniwersyteckie, znaczne dotacje wypłaca Fundusz Kultury Narodowej. Nie będzie więc przesadą stwierdzenie, że w życiu polskiego rządu i społeczeństwa na uchodźstwie utrzymanie i pomoc Polskiemu Wydziałowi Lekarskiemu należy do najbardziej zaszczytnych obowiązków.

Nie mniej serdeczna jest stała pomoc patriotycznej Polonii Amerykańskiej, która żywo interesuje się Szpitalem im. Paderewskiego.

Z wielką pomocą śpieszą także instytucje kulturalno-społeczne świata anglo-saskiego zdobywając sobie trwały tytuł do uznania i wdzięczności ze strony narodu polskiego. Fundacja Rockefellera przeznaczyła 75.000 dolarów amerykańskich jako doraźną pomoc dla polskiego wydziału, a “*Paderewski's Testimonial Fund*” wypłacił już 1.500 dolarów na zasiłki dla najbardziej potrzebujących studentów. Stałymi i hojnymi dobroczyńcami są: “*British Council*” i “*Scottish-Polish Society*.”

Ale największą i najserdeczniejszą pomoc okazuje stale Polskiemu Wydziałowi Lekarskiemu Uniwersytet w Edynburgu. Kilku profesorów tej sławnej szkockiej uczelni prowadzi wykłady i ćwiczenia dla polskich studentów, egzaminuje kandydatów, wybitni specjaliści wygłaszają odczyty naukowe na zaproszenie polskiego dziekana, a w czasie pobytu prof. Jurasza w Ameryce wykładów w zakresie jego przedmiotu podejmują się chętnie Sir John Frazer, wybitny szkocki chirurg, i prof. Learmouth. Studenci polscy korzystają w całej pełni z bogatych zbiorów, pracowni, zakładów naukowych, szkockie organizacje studenckie po bratersku przyjmują studentów polskich, udostępniając im wszystkie swoje zasoby jak własnym członkom.

Nie jest to filantropia, ani nawet objaw przysłowiowej szkockiej gościnności. To jest manifestacja ze strony świata nauki, to cichy ale mocny i nieustający protest przeciw temu wszystkiemu, co się dzieje w ujarzmionej Polsce. To jedyny w swoim rodzaju przykład współżycia i współpracy międzynarodowej.

Stwierdził to Pan Prezydent, gdy w przemówieniu skierowanym do szkockiego rektora i dziekana powiedział: “*Dodaje ta współpraca do nieśmiertelnej sławy Uniwersytetu w Edynburgu nowy liść wawrzynu. Braterskie podanie dłoni polskiej kulturze i nauce, które ma swój wyraz w opiece nad polską wiedzą lekarską, oraz daniu jej schronienia przed największym w świecie barbarzyństwem, jest tego dowodem.*”

Słuchając tych słów a następnie przemówienia Sir Thomasa Holland nie podobna się było oprzeć wrażeniu, że oto w murach stolicy Szkocji, na uniwersytecie edynburskim w codziennej pracy odnaleziono formułę współpracy międzynarodowej na zasadzie równości i braterskiej pomocy, że w okresie rokowań dyplomatycznych, w czasie gorączkowego szukania kompromisu, kiedy pewne wielkie a proste zasady wydają się niektórym przeszkodą do osiągnięcia współpracy pomiędzy narodami — istnieje inny świat, świat wiedzy, który nie uznaje kompromisów, ale wiedziony myślą, że idzie tu o wspólne ideały, o postęp ku dobru i światłu, nie ogranicza się tylko do formalnego protestu czy wyrażenia współczucia, lecz pomaga, współpracuje, walczy.

Uniwersytety brytyjskie w Edynburgu, St. Andrews, Cambridge, Liverpool niosą bratnią pomoc nauce polskiej, uniwersytety Ameryki zgłaszają gotowość adoptowania wszystkich wyższych uczelni w Polsce i deklarują współpracę i pomoc w odbudowaniu ich życia naukowego. Do tego to świata zwracał się Pan Prezydent, gdy podczas uroczystej inauguracji roku akademickiego na Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu powiedział: “*Dziękuję w Imieniu Rzeczypospolitej.*” Do tego świata skierowane były tradycyjne łacińskie słowa inauguracyjnego przemówienia dziekana polskiego wydziału: “*Quod bonum, faustum, fortunatumque . . .*”

I zaiste w toku tej wojny, która przecież toczy się o najwyższe ideały ludzkości nie ma sprawy większej i słuszniejszej.

LUDWIK BOJCZUK

Skrzynka pocztowa

ŚWIEŻYMI OCZAMI

Szanowny Panie Redaktorze,

Nazywają nas tu: “z Rosji” — my się odwzajemniamy i tych, którzy dawniej tu przebywają nazywamy: “nasi Anglicy.” N.p. na dworcu powitało nas dwóch oficerów: Anglik i “nasz Anglik” . . . Patrzymy na rzeczy świeżymi oczami. Więc może będzie ważne to, co dostrzegamy.

Przede wszystkim rzuciło się nam w oczy, że tutaj poszczególnę partie i poszczególni ludzie okrutnie politykują. Często ścierają się zdania o nieistotne w obecnych warunkach sprawy. O ile inaczej pod tym względem w Rosji, a także na Środkowym Wschodzie. A w Polsce? Czy można sobie wyobrazić, że tam ludzie nadstawiają głowy dla drobnych spraw? Pod tym względem nasze społeczeństwo w Polsce, w Rosji, na Środkowym Wschodzie na pewno przewyższa tutejsze.

Parokrotnie słyszałem od “naszych Anglików,” że Anglicy /bez cudzysłowu/ pytają czy w Polsce jest elektryczność, albo czy w Warszawie niedźwiedzie chodzą ulicami? Naszych to bawi i mówią o tym z pobłażliwym wyrozumieniem dla Brytyjczyków, że oni tylko o swoich koloniach i dominiach coś nie coś wiedzą — *only*. A ja dostrzegam jeszcze inny powód tej bądź co bądź niemiłej dla nas naiwności gospodarzy i wcale się nie uśmiecham.

Oto moi koledzy /a zapewne także “nasi Anglicy” tak robili/ będąc laikami w pewnej dziedzinie, często wypowiadają w niewłaściwy sposób swoje zachwyty. N.p. ujrzawszy w Szkocji murowane domy z kamienia wybuchają: w Polsce takich nie ma, u nas drewniane! — W Polsce mniej kamienia a więcej lasów, więc drewniane, a w okolicach górzystych mamy z kamienia. Tu zaś ponieważ gdzie szturchnąć w ziemię kamień, więc zrozumiałe, dlaczego tak wiele budynków z kamienia. Poza tym budynki drewniane nie są znów tak złe: mniej odporne na ogień, zato zdrowsze. Zobaczył Polak na polu grabiarkę lub traktor — wykrzyknie: gdyby w Polsce takie rzeczy były! Otóż używaliśmy w Polsce i grabiarek i kosiarek i wielu innych maszyn. Traktory były w użyciu, choć mniej, gdyż nasze rolnictwo nie miało do nich przekonania /ciężkie, ugniatają rolę/. Albo zachwyty z powodu koni. Ależ przypomnijmy sobie tylko, że ciężkie konie widzieliśmy w miastach, a także i w rolnictwie, choć mniej, a to z tego powodu, że mamy ziemię lżejszą, na którą takie konie nie są odpowiednie.

Nic więc dziwnego, że gdy Anglik nasłucha się podobnych niedorzecznych opinii zapyta: a elektryczność, a niedźwiedzie?

Wesołe i niewesołe. Z drugiej zaś strony Polacy wcale nie mówią w swej skromności o rzeczach korzystnych dla nas i prawdziwych. Nie mówią o Gdyni, o Chorzowie, Mościcach, o Śląsku, o Łodzi, o Warszawie; o rozbudowie dróg i miast, o naszych uzdrowiskach, o Instytucie Uprawy Torfów w Sarnach /którego nie powstydziło by się żadne państwo/, o naszej hodowli narodowej bydła, nierogacizny, koni /jakie wspaniałe stadniny posiadaliśmy/. Nie mówi się o wielu odmianach zbóż wyhodowanych przez naszych rolników, które dziś może i Anglicy sieją. Zbyt mało mówi się o naszej kulturze wielowiekowej i o współczesnym naszym dorobku. Gdyby wyszła z druku tego rodzaju publikacja bardzo by się przydała czytelnikom angielskim, a także, jak widać, i polskim.

Mamy okazję obserwować bezpośrednio, jak dalece Anglicy są konserwatywni, w jakim stopniu, jak nikt inny strzegą swych tradycji. Dość często widzi się Szkota w spódniczce, a zawsze w czasie urzędowania, sędziów w perukach. Porównuję pod tym względem nas. W Polsce konsekwentnie usuwano rogatywki /bodaj że najsampierw ze szkół!/ Cud, że oprócz kolei i straży pożarnej jeszcze w wojsku częściowo się zachowały, choć często robiono “odkrycie,” że to jedyna armia, która ma czapki tej formy. A to takie proste, że polskie czapki ma tylko polska armia.

Wszyscy tu mają wielkie zaufanie do Anglii, do jej polityki i wszystkich pociągnięć, przestali nawet denerwować się jej powolnością. Do tego stopnia są przez nią zasugerowani, że chcą ją we wszystkim naśladować. Dochodzi się nawet do nieporozumienia. Mówi się, że Anglia strzeże swej tradycji i dobrze na tym wychodzi, stąd wniosek dla nas, że powinniśmy ją w tym naśladować. I oto Polacy naśladują, ale nie zasadę, tylko zwyczaje w Anglii przyjęte.

Przykład: Anglicy często śpiewają, czy grają swój hymn państwowy: po skończonym seansie w kinie, po przedstawieniu, po koncercie, a nawet — czego byłem świadkiem — na zamknięcie restauracji, i t.p. okazjach. W Polsce hymn państwowy słyszało się w okazjach doniosłego znaczenia. Zawsze był jak imię Boże, którego nie wolno używać nadaremno. Wkrótce po przybyciu na tę wyspę odwiedziła nasz obóz “Lwowska Fala.” Po skończonym przedstawieniu: “Jeszcze Polska nie zginęła.” Mnie to co najmniej uraziło: hymn państwowy po rewii przyprawionej obficie tłustymi kawałami? Rozumiem na akademii w rocznicę Grunwaldzką, na Święto żołnierza polskiego, ale nie z powodu rewii Wesołej Fali. Wyraziłem taką opinię wobec kolegów, ale mnie zakrzyczano: Jakto, Anglicy tak zawsze robią! . . . A zaraz potem: Anglicy strzegą swych zwyczajów i dobrze na tym wychodzą.

Nieporozumienie. Okazuje się jednak, że jest to odwieczna cecha Polaków, bo 400 lat temu Marcin Kromer stwierdza w dziele “Polska”: “. . . uczą się więc chciwie i łatwo języków tych narodów, u których goszczą; nie dość na tym; przejmują zagranicą różne nowomodne zwyczaje, czy to w jedzeniu czy w stroju i za powrotem szukają chluby w tej swojej wytworności . . .”

Na ogół samopoczucie nasze znacznie się poprawiło na ziemi brytyjskiej: w tym kraju ma swą siedzibę nasz Rząd, mamy więcej polskich książek i prasy. Cieszę się, że mogę obecnie regularnie nabywać “Polskę Walczącą,” na Środkowym Wschodzie od czasu do czasu można było dostać u Arabów stare numery za 50 fils /1sh./. I jeszcze jeden powód do radości: nareszcie jesteśmy znów w Europie. Najważniejsze jednak, że teraz dzieli nas od Polski mniejsza odległość w kilometrach, a również z całą pewnością i w czasie.

Proszę, Pana Redaktora, o przyjęcie wyrazów szacunku i sympatii

Józef Szczuka

W SPRAWIE AUTORSTWA ARTYKUŁU “PROTESTUJĘ”

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec coraz szerszego oddźwięku artykułu “Protestuję” /druk. w nr. 34/ poświęconego sprawie pomocy jeńcom i sprawie stosunku do jeńców w ogóle, wobec przenikania tego oddźwięku także poza łamy “Polski Walczącej” — postanowiłem uchylić przyłbicę pseudonimu *Jacek Lis*.

Pozwoli mi, Pan Redaktor wyjaśnić w tym liście pobudki, jakie skłoniły mnie, wbrew stałemu obyczajowi podpisywania wszystkiego co piszę, do użycia pseudonimu. Wzgląd zasadniczy był ten: w warunkach specjalnych naszego życia emigracyjnego personalia grają niestety ogromną rolę. Kierowała mną obawa, iżby tym razem także, zamiast istoty i wagi sprawy poruszonej, nazwisko i rodzaj człowieka, który ją wnosi na publiczne forum nie grało roli decydującej w ocenie jej zarówno przez opinię, jak i przez zainteresowane czynniki. Istnieje w naszym życiu skłonność załatwiania ludzi wzdrygnięciem ramion, albo machnięciem ręki, nie widząc, że często stoi za nimi coś więcej, niż tylko własne ich troski, ambicje albo pretensje.

W tych warunkach nie chciałem obciążać leżącego mi na sercu zagadnienia nazwiskiem, które posiada pewne już ustalone brzmienie i reprezentuje, jak sądzę, mniej więcej znanego człowieka. Obawiałem się także, iż reakcja na jego wystąpienie poszłaby zbyt jaskrawo w kierunku przekonywania jedynie autora artykułu, że nie ma racji, podczas gdy sprawa, przez niego poruszona odbarwiona być musi od wszelkiej osobistej polemiki i wymaga nowego podejścia i nowego rozwiązania na platformie bez porównania szerszej. Nie znaczy to, abym miał się uchylać od odpowiedzialności za postawienie jej we formie nie tyle krytyki, ile postulatów.

Biorę tę odpowiedzialność raz jeszcze, podając do wiadomości publicznej nazwisko autora artykułu “Protestuję.”

Pozostaję z prawdziwym szacunkiem

Aleksander Janta /Jacek Lis/

P.S. Byłych jeńców proszę o skomunikowanie się ze mną na adres “Polski Walczącej.”

Dla Polaków w Rosji: £10,026

Dear Sir,
I enclose cheque for £2.2.0 for Polish children evacuated from Russia.

Yours faithfully,
Janet S. Gray

* * *

Kochanemu Koledze Tadeuszowi Fabiańskiemu składamy najserdeczniejsze życzenia z okazji Imienin przekazując zamiast upominku sh.30 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Proszę o przekazanie załączonej sumy £1 na cele pomocy dzieciom polskim wyewakuowanym z Rosji.

int. S.M.

* * *

W załączeniu przesyłamy jednego funta na pomoc naszym w Rosji, jako prezent urodzinowy naszego Ojca, Dobiesława, którego niestety do tej pory nie zdołaliśmy odnaleźć na terenie Związku Sowieckiego.

Z poważaniem
Przemysław i Lech Kwileccy

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £5.0.0 /pięć funtów/ z przeznaczeniem na pomoc polskim dzieciom wyewakuowanym z Rosji.

kpt. N.

* * *

Przesyłam sh.10 na pomoc Polakom. *Strumieński*

* * *

Na pomoc Polakom w Rosji £4.16.0 od żołnierzy Pułku Ppanc.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £15.18.0 /słownie: piętnaście Funtów, osiemnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,026.14.4 /słownie: dziesięć tysięcy dwadzieścia sześć funtów, czternaście szylingów i cztery pensy/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milreisów brazylijskich.

FUNDUSZ RATOWANIA DZIECI

Dear Sir,
I have pleasure in enclosing a cheque for £82.8.1, which I shall be obliged if you will hand to the Honorary Secretary, Polish Children Rescue Fund, 1, Hill Street, W.1, for the relief of Polish children, as a donation from this Sub-Branch.

The amount represents the proceeds of a concert given by the Polish Army Choir in Bridge of Allan on 25th September last under the auspices of the Scottish-Polish Society, Bridge of Allan Sub-Branch, and is sent with the wish that the gift will ameliorate to some slight extent the plight of the children in Poland.

Yours faithfully,
T. J. Mackenzie /Secretary/

Dla jeńców: "paczki od serca"

Pracownicy Wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Narod. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc październik £27.5.0 /słownie: dwadzieścia siedem funtów, pięć szylingów/.

* * *

Zamiast prezentu ślubnego swemu d-cy kpt. Mar. Wojennej sumę £5.7.0 /pięć funtów, siedem szyl./ z przeznaczeniem dla oficerów i marynarzy Mar. Woj. w niewoli niemieckiej przesyłają.

Podchorążowie Rezerwy Mar. Woj.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej,"
Załączamy "Money Order" na sumę £4 /słownie cztery funty/ z przeznaczeniem na pomoc dla polskich jeńców w Niemczech.

4 Oficerów 1 Komp. Łącz.

* * *

Ppor. J.H. ze Sl. przesyła za miesiące wrzesień-grudzień 1943 r. po 5 sh. razem 20 sh. na "paczki od serca."

* * *

Za spełnienie życzenia przesyłam £1 dla jeńców wojennych w Niemczech.

por. T.D.

* * *

Anonimowo na paczkę od serca sh.5.

W załączeniu nadsyła Klub Oficerski W.S.Woj. Money Order na £4.16.0 z przeznaczeniem na "Polskich Jeńców Woj." Jest to 50% czystego zysku z koncertu urządzonego w Peebles przez W.S.Woj. w dniu 17.X.43.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £9.12.0 /£ dziewięć, sh. dwanaście/, którą to sumę stanowią dobrowolne składki żołnierzy Pułku Ppanc. z przeznaczeniem 1/ na pomoc polskim dzieciom z Rosji £4.16,0, 2/ na pomoc jeńcom polskim w obozach niemieckich £4.16.0 /sekcja Pomocy Jeńcom Polskim/.

Z poważaniem
B.P. świetliczarka

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej" w Londynie,
W związku z akcją na paczki dla jeńców przesyłam na powyższy cel sumę £16.2.0 /szesnaście funtów, dwa szylingi/ zebranych przez członków Klubu Polskiego przy fabryce "Napier, Son" w Liverpoolu.

Z poważaniem
Sekretarz Klubu

* * *

Sekcja Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym.
Przesyłam anonimowo Postal Order na "Paczkę od serca" /załączone sh.9.3/.

Wielmożny Panie,
W załączeniu przesyłam Money Order na £5.12.0 /słownie: pięć funtów dwanaście szyling./ na paczki dla jeńców polskich w Niemczech /o ile możliwe saperów/. Pieniądze z likwidacji kasyna oficerskiego w H...

Z poważaniem
ppor. Ż.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £70.12.3 /słownie funtów siedemdziesiąt, szylingów dwanaście i trzy pensy/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na pomoc Jeńcom za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £932.6.10 /słownie dziewięćset trzydzieści dwa funty, sześć szylingów i dziesięć pensów/ i 50 milrejsów.

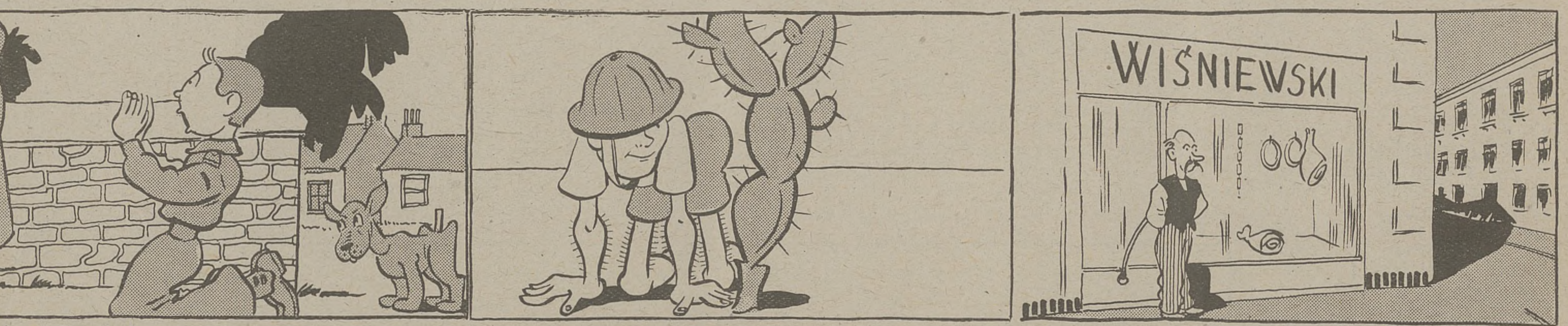
WYJAŚNIENIE

Na życzenie autora artykułu: "Ścigacze," druk. w numerze 39 "Polski Walczącej" Redakcja wyjaśnia, że artykuł ten jest skrótem redakcyjnym tekstu oryginalnego, który nie mógł być ogłoszony drukiem w całości ze względów na tajemnicę wojskową.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Kartę Armii Zbawienia
Schował Pompka w kieszeni
I powiedział do Szkotki:
Chcę się z tobą ożenić!

Znam Polaków—odparła—
Każdy z was, uroczyście,
Ślub przyrzeka, a potem
Szukaj go na Middle East'cie!

Ja nie z takich—rzekł Pompka—
Skaż mnie Panie Niebieski!
Mój wujaszek w Warszawie
Znana firma! Wiśniewski!



On nam wszystko zapisze,
Ja to tobie przekażę,
Ty bar kupisz. Ja mogę
Być barmanem w tym barze . . .

Szkotka na to do Pompki:
Może wujek dziś w nędzy . . . ?
Pokaż ile dla niego
Oszczędziłeś pieniędzy?

. . Tu się rozstał Walenty
Z zimną serca wybranką—
I na pocztę się zgłosił:
Książkę wziął—Savings Banku!

KOMUNIKAT

Ministerstwo W.R. i O.P. urządza w dniach 6 i 7 listopada b.r. /sobota i niedziela/ w Glasgowie kurs obsługi sprzętu filmowego 16 mm dla nauczycieli /lek/.

Kurs rozpocznie się w sobotę dnia 6.XI. b.r. o godz. 10-ej rano i zakończy się w niedzielę dnia 7.XI. b.r. o godz. 5-tej po poł.

Zgłoszenia należy kierować do dnia 31 bm. do Ministerstwa W.R. i O.P. Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANI

1/ PIEKARSKI JAN kpt. 56p .p. ostatnia wiadomość z Węgier w r. 1939.

Wywiezieni do ZSRR z więzienia z Brześcia nad Bugiem:

2/ RAYSKI JERZY inż. agr. wł. maj. Mokrany. 3/ ROTH WIKTOR, inż. agr. b. Prezes Poleskiej Izby Rolniczej. 4/ Braci MIŁACZEWSKICH BOLESŁAWA i WŁADYSŁAWA, wł. dóbr Bolkowo. 5/ PRZEBORA KAROL, wł. maj. Siechnowicze i Gorylki /nr. 3 i 5 w latach 40/41 byli w więzieniu Mińsk Lit./.

Wywiezionych do ZSRR z więzienia w Kobryniu:

BOBIŃSKI ADAM, Prez. Związku Ziemian, wł. maj. Wiezki. SOŁTAN JÓZEF, wł. maj. Szpitale i administr. maj. Głębokie. Książę PUZYNA JULIAN, wł. maj. Ostomeczowo.

Wywieziony do obozu jeńców w Ostaszkowie: SUŁKOWSKI HENRYK, komandor-kpt. mar. wł. maj. Snitowo. Wszyscy z Polesia.

* * *

GONET FRANCISZEK ze Stanisławowa poszukuje krewnych i znajomych. Adres. P/11, P.F.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.